Nr. 89. Lwów — Czwartek dnia 19 Kwietnia. **Rok 1894.**

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „

Numera z poprzednich miesięcy po 10 ct.

„Przegląd" jest do nabycia we Lwowie w obu Biurach sprzedaży dzienników i we wszystkich większych trafikach.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. za [illegible]
Miesięcznie złr. 1·10 | [illegible]
Kwartalnie „ 3·— | [illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]

CENY OGŁOSZEŃ:
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach" za każde słowo drukiem petitowym po . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korrespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Emmy | Hrehorya Meł. — Jutro: św. Agnieszki P. | Irydyona Ap. | Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.** | Wschód słońca g. 5 m. 14, Zachód „ 6 „ 47 | Długość dnia g. 13 m. 33, Przybyło dnia od wczoraj 2 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 18 kwietnia.

Sala węgierskiego sejmu raz po raz drży od burzliwych okrzyków „Eljen!" które głośnem echem rozlegają się po mieście. To liberalne stronnictwo święci swe tryumfy i przez usta prezesa gabinetu woła: „My to jesteśmy ci, którzy rozumieją rzetelne i wielkie interesa Węgier!" — „My—to całe Węgry!"— odzywa się dumny okrzyk z rządowego obozu i wnet on, jak jeden człowiek, zrywa się na równe nogi, bije w dłonie i krzyczy zapamiętale: „Eljen! Eljen!" —

Powtórzyło się to z rzędu na czterech posiedzeniach; na jednem przyjęto w pierwszem czytaniu projekt ustawy o ślubach cywilnych i postanowiono przyjść do rozpraw szczegółowych; na drugiem odparto ataki stronnictwa koszutowskiego na prezydenta sejmu Banffy'ego, który tem się naraził ultrasom szowinistycznym, że ani sam nie był na pogrzebie Koszuta, ani służby sejmowej w mundurach nie wysłał na tę uroczystość; na trzeciem odrzucono wniosek Ugrona o naganę całemu gabinetowi również za usunięcie się od udziału w tym pogrzebie i za to, że podczas niego nie było czarnych chorągwi na rządowych gmachach; na czwartem, po krótkiej dyskusyi szczegółowej, ostatecznie przyjęto projekt o ślubach cywilnych. Za każdym razem rządowa większość wynosiła przeszło sto głosów, raz nawet 165, a zatem okazała się tak liczną i karną, jak nie była nigdy za czasów Tiszy i Szapary'ego.

Choć między sprawą pierwszą i ostatnią a środkowemi nie ma rzeczowego związku, ale jest moralny. Łańcuchem ze złotej waluty i z projektu ślubów cywilnych przykuł do siebie p. Wekerle liberałów i już im może zostawić troskę o swe bezpieczeństwo. Jego porażka byłaby ich ogromną klęską, jego trwanie u steru, to ich zwycięstwo, — i dlatego stoją przy nim, jak napoleońska stara gwardya, i każdy swój sukces witają grzmiącymi okrzykami: Eljen! Tak się zwyczajnie nie okazuje w parlamentach zadowolnienia z rezultatu głosowania; tak okazują radość tylko ci, którzy zwyciężają w walce o własne istnienie.

A walka jest równie zacięta, jak zręcznie prowadzona przez liberałów i pod pewnym względem pożyteczna dla kraju. Dbają oni tylko o śluby cywilne, dla nich gotowi są na wszelkie ofiary, których istotnie nie skąpią za kulisami sejmowemi, starannie usuwając wszystko, co może wstrzymać lub zamącić tok narad; reszta sama przez się mało ich obchodzi; owszem, wolęliby Koszuta, jako masona, uczcić po śmierci nadzwyczajnie i każdego ukarać za niezłożenie mu hołdu, ale ratowali i Banffy'ego i pochwalili rząd za usunięcie się od pogrzebu, bo to były drobnostki w porównaniu z tem, co im rząd daje, t. j. ze ślubami cywilnymi. A jednak tylko uboczne skutki liberalnych zabiegów o powodzenie tych ślubów można stanowczo uważać za dobre dla kraju.

Nawet ludzie mało szanujący prawa religijne mówią, że dopiero przyszłość pokaże, czy Węgrom, którym od ugody w r 1867 tak szczęśliwie we wszystkiem się powodziło, przyniesie reforma kościelna równie błogosławione skutki, jak dzieło Deaka i Andrassy'ego, które pozwoliło im rozwinąć się wewnętrznie w sposób oddawna na ziemi arpadowej niezapamiętany. Czy te śluby cywilne, które tyle zgryzoty zgotowały sumieniu katolickiej ludności i wniosły pochodnię walki w bratnie szeregi, zbliżą Madyarów do narodowej potęgi, o której marzą, to zagadka ciemna i bardzo wątpliwa. Ale na razie pewnem jest to, że zabiegi liberałów o powodzenie rządowego projektu w sejmie zburzyły stronnictwo „niezawisłe", stojące dotąd na gruncie potulatów z roku 48-go i nieuznające ugody stworzonej przez Beusta, Deaka i Andrassy'ego. Potężnem było to stronnictwo, dopóki stał na jego czele zmarły niedawno Daniel Iranyi, ale potem nieco odsunęła się od niego frakcya Eotvesa, następnie frakcya Gezy Polonyi, bo nie mogła się zgodzić z Koszutem, który na krótko przed śmiercią dał takie hasło z Turynu: „Gdy idzie o walkę z Kościołem katolickim, to nawet z zaklętym wrogiem wolno się sprzymierzyć"; w końcu, — po ostatniej rozprawie nad wnioskiem o naganę gabinetowi za jego usunięcie się od pogrzebu Koszuta, — wystąpiła ze stronnictwa niezawisłości frakcya Ugrona i tak z wielkiego obozu pozostał tylko mały niedogryzek, stojący pod komendą chwiejnego Justha, który dla ślubów cywilnych popiera liberałów i Wekerlego, więc święcie spełnia wolę swego mistrza Koszuta, a jednak dla pamięci jego nawet tego nie zrobił, do czego wzywał go wniosek Ugrona. Tak tedy nie ma już stronnictwa koszutowskiego, z niego została tylko mizerna frakcyjka, która nigdy w niczem nie zaważy. Dla gabinetu Wekerlego i dla systemu dualistycznego to rozbicie się obozu zwolenników zupełnej odrębności Węgier jest zwycięstwem prawdziwie ważnem i stokroć rzeczywistszem, aniżeli złudne powodzenie projektu ślubów cywilnych, bez których Węgry mogłyby żyć szczęśliwie, bez troski o wszystkie walki, jakie w narodzie niezawodnie się zaczną.

Stosunek swój do parlamentu Crispi postawił na ostrzu noża; rozwiał ostatnie złudzenia, jakie żywiono we Włoszech co do możliwości kompromisu między rządem a komisyą piętnastu, mającą za sobą prawie wszystkich deputowanych; słowa jego, znane z wczorajszego telegramu, można tak przetłómaczyć: „Wolę moją przeprowadzę, czy się z nią zgodzi parlament, czy się nie zgodzi!"

Komisya piętnastu jest to ta, którą w lutym wybrał parlament dla zbadania finansowych pomysłów gabinetu; równocześnie druga komisya, złożona z dziewięciu członków, zajęła się crispiowskim projektem administracyjnych reform, obejmujących redukcyę liczby urzędów i pełnomocnictwa niemal dyktatorskie, których Crispi dla siebie zażądał. Referaty obu komisyi razem weszły na stół izby. Otóż referat komisyi piętnastu spotkał się ze słowami Crispiego: „Albo dacie mi wszystko i wtedy pójdę z wami, albo... rząd wie, jak postąpi!" Ponieważ zaś od tej finansowej kwestyi zależy przyszły budżet, ułożony z góry tak, jak gdyby reformy administracyjne już były zatwierdzone, przeto o referacie komisyi dziewięciu rzekł Crispi, że gabinet nie zgadza się na dyskusyę nad tym referatem przed uchwaleniem budżetu. Znaczy to po prostu, że parlament musi przyjąć bez zmiany finansowe projekta gabinetu, potem zatwierdzić budżet, ułożony z uwzględnieniem tych projektów, a już administracyjne reformy, mające wyłącznie oszczędnościowe znaczenie, same przez się z tego wynikną i pozostanie tylko dać do nich niezbędne upoważnienie Crispiemu, czyli obdarzyć go pełnomocnictwami.

Wynika z tego, że Crispi już z góry wie, iż z parlamentem, albo bez niego postawi na swojem, bo widocznie ma w rękach podpisane przez króla upoważnienie do tego. Komisya piętnastu zrobiła jednak dużo dla zgody z rządem. Chciał on powiększenia podatku gruntowego o 20 proc; ona mu przyznała to powiększenie o 10 proc.; chciał zmniejszyć liczbę urzędników, aby przezto uszczuplić wydatki administracyjne; ona, zamiast dymisyonowania niektórych urzędników, zaproponowała odebrać wszystkim dodatek do pensyi na mieszkania, co według rachunku, zrobionego tylko dla urzędników w jednym Rzymie, dałoby oszczędności milion franków; chciał nałożyć na rentę państwową podatek, wynoszący 0·20 wartości kuponu; ona, wybadawszy zagranicznych bankierów, zaproponowała podatek, wynoszący 0·14; podniesienie cła zbożowego do 7-miu lir za centnar pszenicy i podniesienie ceny soli o 5 centesimi w zupełności przyjęła; wreszcie rząd uznał możliwość oszczędności w wydatkach na wojsko lądowe i marynarkę aż do 6-ciu milionów, komisya zaś zażądała tej oszczędności na 24 milionów — i w tem jest główna różnica między rządem a komisyą. Kiedy skrajna opozycya zapytała w parlamencie Crispiego, dlaczego tak się opiera redukcyi wojska o dwa korpusy, kiedy przecież wszystkie rządy jakby na wyścigi zapewniają, że nastała era długiego pokoju, Crispi odrzekł, uderzając ręką o pulpit: „Bo to byłoby politycznem samobójstwem!" Słowa te sprawiły fatalne wrażenie w całej Europie. Wszędzie odezwały się głosy: „A więc rządy uspakajają publiczność, zapewniają, że będzie długi pokój, ale same temu nie wierzą!" Trzeba więc było osłabić znaczenie słów Crispiego i oto w Rzymie dano do nich taki komentarz: „Nie o wojnę idzie, lecz o to, że nadmierną oszczędnością można tak zdezorganizować armię, iż potem potrzeba będzie setek milionów i długich lat na postawienie wojska na jego dzisiejszej stopie". Musimy przyznać, że taki komentarz nie mógł nikomu trafić do przekonania, bo przecież nie projektowała komisya uszczuplić wydatków na kształcenie całej armii, lecz tylko żądała zniesienia dwóch korpusów, a to nie może być nazwane dezorganizacyą całej zbrojnej siły. Lepiej byłoby szczerze powiedzieć, że pokój zawsze jeszcze w znacznej mierze opiera się na bagnetach.

Wojownicze usposobienie Crispiego objawiło się nietylko owem ultimatem, które on postawił parlamentowi: jednocześnie zaczął dokuczać duchowieństwu i w ogóle Watykanowi. Kiedy stanął u steru, liczył na pomoc Papieża w walce z ruchem rewolucyjnym na Sycylii i Carrarze. Ale ten ruch nie zwracał się przeciwko Kościołowi, lecz przeciwko tym masońskim rządom, które obdzierają lud, a uciskają Kościół. Więc duchowieństwo zachowywało się obojętnie, a Papież tylko żal wyraził, że doszło do rewolucyjnego ruchu. Otóż, zdławiwszy wybuchy zniechęcenia ludowego, Crispi zaczyna teraz mścić się na duchowieństwie i Watykanie tysiącznemi szykanami i odmową zatwierdzenia papieskich nominacyi na godności biskupie.

KORESPONDENCYE.

Neapol d. 10 kwietnia.

Złota doba dla Neapolu: 40.000 obcych, *forestiere*; pełne ich hotele, wille, ulice, place, tramwaje, omnibusy, wagony, galerye, a placą i placą, od rana do nocy, bo za każde słowo usługi lub uśmiech życzliwości wiecznie głodny grosza Neapolitańczyk dopomina się o solda (2 cty). Ma odrębną, sobie właściwą charakterystykę Neapol, wesołe wrzaskliwe, wiecznie śmiejące się i śpiewające miasto, bo też cudownie rozłożone nad morzem tyrheńskiem, po którem niegdyś żeglował Eneasz, szukając drugiej ojczyzny dla siebie; bo też cudownie piękne lazurowe niebo po nad niem a dokoła wieniec wysp, skał i gór wulkanicznych z wiecznie dymiącym Wezuwiuszem na czele, i drugi wieniec will, ogrodów i miasteczek nadmorskich. Wszystko to razem składa się w prześliczną harmonię, która i syna północy usposabia wesoło, a cóż dopiero gorącego Neapolitańczyka, mającego w swych żyłach krew grecko-romańską. Żyje on też tu z dnia na dzień, bez myśli o jutrze, chociaż dziś głodny i goły, w politykę się nie bawi, poważnym rozpamiętywaniom się nie oddaje, wesół zawsze i swawolny; gdy mu kto lub co wejdzie w drogę rozgniewa się srodze, wrzaśnie groźbą lub przekleństwem, ale za minutę już się śmieje i rozprawia w najlepsze, albo wyśpiewuje aż do zachrypnięcia gardła, że ma na sprzedaż karczochy albo pomarańcze, zapałki, grzebienie, ołówki — bo tu dobry handel odbywa się jak u nas na Kazimierzu peripatetycznie, chodząc i wrzeszcząc po ulicach. Dorożkarze trzaskają z bicza jak nasze Krakusy, a mają zgrabne lekkie dorożki i jeszcze zgrabniejsze chyże koniki z Kaprery, ojczyzny Garibaldego, które przystrajają w uprząż gustownie nabijaną w srebrne i złote koluszka. Nawet ciężkie ładowne dwukołowe wozy, starorzymski zabytek, zaprzężone w trójkę koni, mułów lub osłów, mają środkowego konia ustrojonego w mosiężne z wieżyczkami i dzwoneczkami siodełko, które służy do utrzymania równowagi wozu; głowy końskie przystrojone w ogony lisie, grzywy, a nieraz i ogony w kokardy. Tylko oni sami, dorożkarze i woźnice, zaniedbani w stroju, często brudni i odarci, a zawsze chciwi zysku. Powiedzieć to samo trzeba o całej pracującej i robotniczej klasie Neapolu; ochędóstwo nie jest jej zaletą. Już w kwietniu, a bardziej jeszcze w lecie warstatowe i domowe zajęcia odbywają się na ulicy, czeszą się, myją, brody goją na ulicy, naprawiają buty, bieliznę wszelką, piorą ją i suszą na ulicy, umilając sobie pracę rozhoworem i śpiewami.

Ma Neapol i swoją sielankę. Oto rano i wieczór kozy, „ucieszne kozy ma trzodę jedyna", a za nimi krowy z dzwonkiem u szyi i cielątkiem u boku, oprowadzają się po ulicach i placach. Pasterz potrząsa dzwonkiem, a wywołuje: mleko, mleko! Wnet wychodzą z domów gosposie młode i starsze z garnuszkiem lub szklanką i podój odbywa się na ulicy. Nacieszyć się nie mogłem oną idylą wśród gwaru wielkiego miasta.

Gwar ten przeciąga się późno w noc, lokale publiczne zamykają się o 1ej w nocy; wszędzie krzyki, śmiechy, ruch nie do opisania, wszędzie rozlegają się odźwięki muzyki, na placu plebiscytu i w galeryi wielkiej grają orkiestry wojskowe i miejskie w salach restauracyi ślepe, kulawe trubadury i przestarzałe trubadurki na gęśli i cytrze słodko-nudne wygrywają melodye a głosem wrzaskliwym od zmęczenia wyśpiewują arye mistrzów włoskich, przystaną na chwilę, aby wyciągnąć rękę do gościa po „solda".

Teatrów w Neapolu blisko tuzin, jeden z największych w Europie S. Carlo ma 192 lóż w 6 rzędach i tę sławę, że pierwszych autorów sztuki tu po pierwszy raz przedstawiano. Najulubieńszym jednak teatrem dla lekkich, płochych Neapolitańczyków to teatrzyk Polichinella (Cedrula z sąsiedniej Acerry) z swemi niewyczerpanemi dowcipami i farsami, których praojcem ma być Atella z rodu Osków, pierwszych założycieli dzisiejszego Neapolu. Dwa razy dziennie dają tu przedstawienia, a zawsze sala teatru przepełniona, trzęsie się od śmiechu i oklasków.

Port Neapolu nierównie mniejszy i gorzej urządzony jak w Marsylii lub Tryeście. Zawijają doń przeważnie okręty masztowe kupieckie, parostatki rzadko stoją na kotwicy.

Naukowe życie mało tu rozwinięte. Nawet neapolitańska dawna świetna szkoła pędzla i dłuta dziś w zastoju, a życia politycznego tu nie ma wcale, skoncentrowało się ono w Romie. Dogadza to wesołym krzykliwym Neapolitańczykom, praca naukowa, a nawet artystyczna nie jest im dogustu; celem ich życia próżnować, bawić się i używać, jak przed wiekami cezarowie: Tiberyusz, Klaudyusz, Neron, Tytus i Adryan i cała plejada ich dworzan i zniewieściałych, przeżytych patrycyuszów rzymskich, którzy tu i w okolicy obok cesarskich letnich pałaców, ogrodów, łazienek, swoje rozkoszne wille gęsto rozsiane mieli. Dziś z nich tylko szczątki ruin, a na nich piętrzą się wille nowego stylu mniej wykwintne i rozkoszne, w których cudzoziemcy i zamożniejsi mieszkańcy „trzeciego Rzymu" latem chętnie przebywają, bliskość bowiem morza łagodzi znacznie letnie upały.

Kościołów koło 300. Wiele z nich dźwiga kilka wieków na swych murach, ale nieszczęsna mania przy końcu XVII i w XVIII wieku „odnawiania" świątyń pańskich w stylu barocco, popsuła je bardzo. Tak n. p. wspaniała gotycka katedra św. Januarego z XIII wieku zachowała do dzisiaj ledwo kilka kaplic i fronton gotycki, zamiast sklepienia sufit, prawda że z XVI wieku, ozdobiony malowidłami takich mistrzów jak Santafede i da Forti i cała świątynia, zwłaszcza zaś kaplica „skarbiec" bogata jest we freski i obrazy najznamienitszych mistrzów jak: Luca, Giordano, Solimeni, Vasari, Domenico; bogatsza jeszcze w marmury, olbrzymie biusta srebrne, w złote i srebrne naczynia kościelne.

Pobożność Neapolitańczyków mniej tu ucierpiała w ostatnim ćwierćwieku masońsko-liberalnych rządów, jak w Rzymie, ale ostygła znacznie; kler liczny, nie zapracowuje się tu w konfesyonale, nabożeństwa jednak odbywają się tu okazale i z prawdziwym artyzmem. Zakonnikom rząd włoski zabrał wszystko, rozegnał, przy kilku tylko klasztorach zostawił im po kilka cel i pozwolił z ramienia kardynała arcybiskupa zarządzać kościołem. W ten sposób i księża Jezuici pozostali przy swym okazałym kościele z XVII wieku, za to otworzyli konwikt szlachecki na wzgórzu Connocchia z cudnym widokiem na miasto i wiecznie dymiący Wezuwiusz.

Obejrzawszy miasto, pognałem koleją do Pompei. W mniejszej części ono odkopane, na drugiej rośnie złotowłosa pszenica. Czego się za młodu w *Antiquitates Romanorum* nauczyłem, tu się widzi w oryginale, prawda, że uszkodzonym, ale zawsze wiele mówiącym. Najznaczniejsze wykopaliska pompejańskie przeniesiono do narodowego muzeum w Neapolu, drobniejsze tylko i kilka ciał Rzymian zasypanych lawą i dobrze zachowanych w muzeum w Pompei. Kwadrans drogi pieszej: *Vale di Pompei* zakład ciemnych i prześliczna, bogata w marmury nowa świątynia z cudownym obrazem Matki Bożej w głównym ołtarzu i organem na pozór zwyczajnym, ale który starczy za orkiestrę całą. Wdowi grosz katolickiego świata dźwignął ten zakład i ten kościół.

Z Pompei powozem lub konno do stacyi kolei linowej, a koleją na ostatni stok Wezuwiusza, który już pieszo przebyć trzeba, bo grunt z popiołu i lawy niepewny. Jakoby sto armat grało i sto burz czerwcowych razem huczało: taki szum, huk, dym kotłuje w onym wulkanie. Przycichnie na chwilę, za to z potrojoną siłą i huczy i dymi i grzmi i wyrzuca kamienie i lawę płomienistą. W dzień sądu Pańskiego cała ta olbrzymia maszyna świata stanie się takim wulkanem przerażająco wspaniałym.

Na przeciwnej stronie miasta dawne Puteoli dziś Pozzuoli z ruinami pogańskich świątyń i amfiteatru, stamtąd pół godziny drogi dorożką grota, autentyczna grota Sybilli kumejskiej, opiewanej w VI księdze Eneidy Wergilego. Długi, ciemny, wilgotny podkop, oświetlony pochodniami, zwęża się i zwraca w prawo i prowadzi do onej sadzawki ujętej w oprawę marmurową, zwanej „kąpielą Sybilli", której wyziewy proroczo nastrajały kapłankę. Przebywa się ją „na baranie" na ramionach przewodnika w bród. Woda ciepła z siarki zapachem. Do koła sadzawki trzy małe komnaty z resztkami marmuru i sztuku, jedna dla prorokini, druga dla Nerona, który tu z nią długie wiódł rozmowy, trzecia dla najwyższego kapłana Sybilli. Opodal groty dwa jeziora odcięto od morza „drogą Herkulesa": lukreńskie sławne ostrygami i piekielne (*laca averno*) wejście do piekieł, którym Sybilla wprowadzała Eneasza do *Acherontis ad undas.* Cesarz Augustus złączył obydwa jeziora, zbudował port piękny, opiewany przez Wergilego i Horacego *portus julianus*, a Neron urządził w pobliskiej Baja zakład kąpielowy ciepłych wód siarczanych z pałacami i świątyniami, który się wnet stał głośny nie tyle siłą leczniczą, jak wyuzdaną rozpustą i zasypany został popiołami, dziś wypalonego oddawna wulkanu Nowagóra (*Monte nuovo*), tylko korytarz z kilkunastu łazienkami pozostał i ruiny, na których wznosi się zaniedbana uboga wioska Baja.

Przez Bacoli, skalisty przylądek Misenum, gdzie Eneasz trębaczowi swemu olbrzymi grobowiec ze skał dźwignął, po pod łąk Feliksa, resztki starorzymskiego wodociągu, zdążasz prześliczną nadmorską drogą do Kumy (Cumae). Kolebka to Neapolu. Na 1050 lat przed Chrystusem Eolczycy z Małej Azyi tu kolonię założyli, która w skutek napływu handlowych Gre-

---

21)

SWAT

Powieść współczesna

przez

Wincentego hr. Łosia.

(Ciąg dalszy).

— Ale... podobno hrabina Zenaida używa pewnych środków, wód...

— Pani ich nie potrzebujesz — odparł szorstko Sturmwind, — pani rodzaj piękności jest zupełnie inny. Pani jesteś z bronzu, a bronzowych ludzi niszczą tylko ich własne namiętności. Używaj pani wreszcie w wypadku bezsenności lekarstwa na sen, a w wypadku cierpień fizycznych morfiny. Do każdej, najmniejszej operacyjki, do zaplombowania zęba, każ się pani chloroformować. Cierpieć ani fizycznie, ani moralnie klientkom moim nie wolno. Bądź pani kokietką, bo zdaje mi się, że nią nie jesteś. Kokieterya to moja najdzielniejsza pomocnica. Ona utrzymuje siłę woli, ona daje niezbędne piękności zadowolnienie i podnietę.

Pierwszy wstał z krzesła, jak dygnitarz, i dodał:

— Na list pani zawsze odwrotną pocztą odpiszę. Dłuższych rad udzielam tylko w zamówionych godzinach. O miksturach pani, pani... Zenaidy pomówimy za lat dziesięć.

Pani Walerya pożegnała Sturmwinda oczarowana. Postanowiła sobie zastosować się jak najściślej do jego wskazówek. Wbrew powziętemu dawniej zamiarowi niewidzenia się z nikim w Wiedniu, resztę dnia poświęciła odwiedzinom licznych znajomych. Obiad jadła w wybornym humorze u Sachera w gronie przyjaciół. Około siódmej wieczorem musiała z nimi się rozstać, bo szła na operę z księżną Titą. Przedtem jednak musiała jeszcze się przebrać. Spieszno jej było do domu, ale nie wsiadła do czekającego pod bramą słynnej restauracyi fiakra, tylko piechotą udała się przez Ringstrasse. Dziwny kaprys nagle przyszedł jej do głowy. Niedość jej było, że ją lokaj wziął za baronównę, że lekarz kazał na lat dziesięć odłożyć rzeczywiste odmładzanie się, ona jeszcze im nie dowierzała, bo znała mężczyzn w ogóle. Ale teraz miała już sposób, i to niechybny, dowiedzenia się, co myśleć o swej piękności.

Pełna werwy, leciuchnym krokiem szła wzdłuż oświetlonej ulicy, rzucając na młodych przechodniów znaczące spojrzenia. Tak zbliżyła się do hotelu Impérial. Szaloną miała ochotę obejrzeć się za siebie, ale zabrakło jej odwagi. To mogłoby ją za daleko posunąć. Lecz za to parę razy zatrzymała się przed wystawami magazynów. Serce jej biło, jak nigdy.

W hotelu odebrała klucz od apartamentu i pospieszyła, jakby uciekając, na piętro. Ta, w chwili, gdy już miała zakręcić klucz w zamku, stanął przy niej wysmukły, nie pierwszej młodości, ale strojny i elegancki mężczyzna. Pani Walerya przestraszyła się. Nieznajomy uczynił ruch, jakby chciał wejść za nią.

— Czy pan masz do mnie jaki interes? — zapytała tonem drżącym, ale ostrym i dumnym.

Mężczyzna zmięszał się.

— Pozwoliłaś mi pani towarzyszyć sobie — bąknął.

— Zwaryowałeś pan.

Wpadła do numeru, zatrzasnęła drzwi za sobą i przerażona rzuciła się do elektrycznego dzwonka, na którego guziku dopóty trzymała palec, aż się zbiegła służba.

— Proszę mi przysłać służącą.

Oburzony kelner odparł:

— Ależ na służącą dzwoni się dwa razy. Tak się dzwoni na alarm...

Pani Walerya spokojnie zniosła gniew kelnera. Osiągnęła to, czego pragnęła: na swoje wątpliwości otrzymała lepszą odpowiedź, niż mógł jej dać Sturmwind lub jakikolwiek inny znawca piękności.

Była uszczęśliwioną. Ludwik widocznie ją opuścił z chwilowego przesytu. Gdyby zechciała, niezawodnieby do niej powrócił. On przepadał za Wiedenkami i za ich *Schnitt*em, jak mówił. Ale ten „sznyt" ona właśnie posiadała. Mąż jej, który był sławnym gastronomem, przejadł się raz truflami, na które przez dwa lata patrzeć nie mógł. Potem do nich z większym apetytem powrócił. Z kobietami mogło być to samo.

Ale na rozmyślania czasu już nie starczyło. Księżna Tita czekała na nią w loży, a nazajutrz pani Walerya miała wyjechać do Lwowa na karnawał. W Wiedniu zadanie jej było już skończone..

XVIII.

Wszystko szło dalej po myśli pana Artura. Dzień ślubu był wyznaczony na św. Józefa, bo pani Bolska nie zgadzała się na wcześniejszy termin, a pan Artur znowuż pod żadnym warunkiem nie chciał przystać na odroczenie ceremonii do czasu powielkanocnego. Nieraz w chwilach największego zadowolnienia i najlepszych nadziei widmo pani Waleryi odbierało mu sen i apetyt, otuchę i pewność swych kroków. Ona, myślał, mogła wszystko jeszcze popsuć. A w miarę, jak zbliżał się termin ślubu, Ludwik coraz więcej znudzony był formami, jakim w charakterze konkurenta musiał się poddawać. Gdyby go w jednej z tych chwil, w których go męczyły proszone obiady, rauty, wizyty, oddawane starym przyjaciółkom pani Bolskiej, przydybała baronowa, nie wiadomo, coby się stać mogło. Ludwikowi wprawdzie podobała się Mariola, ale sądził, że połowa tego czasu, jakiego użył na przypodobanie się jej, wystarczyłaby mu do zdobycia najoporniejszego serca. A już marzył o przejażdżce po Europie na Wiedeń i Monte-Carlo, albo też o wybraniu ze swych stad kilku czwórek, któreby sam ujeżdżał w dużych saniach przez wołyńskie stepy. Dusiły go ciasne, konwencyonalne, wymanierowane salony; brakowało mu w nich swobody i powietrza. Widział to hrabia. Nieraz musiał go napominać i zwracać jego uwagę na zbrodnie, jakich się dopuszczał. To w żakiecie zjawiał się na obiad do przyszłej świekry, to z wieczora wyprowadzał nie narzeczoną, lecz jakąś inną damę; to się rozwalał na kanapach w sposób dobrze widziany tylko w katakumbach wesołego Wiednia.

Hrabia miał więc różne troski, które mu jednak znośnemi się wydawały w obec bliskości upragnionego celu. Do Marioli z dnia na dzień coraz silniej się przywiązywał. Ta delikatna i tkliwa istota ujęła go tak za serce, iż nieraz żałował, że nie jest na miejscu Ludwika. Gdyby był w swoim czasie wiedział, że między pannami trafiają się takie jak Bolska istoty, nie byłby został ani kucharzem, ani starym kawalerem. Tymczasem wysilał się, by naprawić błędy i szorstkości Ludwika. Sam kupował bukiety i cukierki, by je wysyłać w imieniu kuzyna pod adresem jego narzeczonej. Dla okazania uprzejmości Marioli sam mu udzielał różnych pomysłów, które jakimś cudem do głowy mu przychodziły, bo nie miał wcale doświadczenia w podobnych sprawach. A gdy czasem zastawał Mariolę smutną, przestraszoną jednym z tysiąca dziwacznych postępków Ludwika, nielicujących z rolą zakochanego, tak jej umiał właściwie czy też genialnie przedstawić ten charakter, iż wierzyła pod wrażeniem słów jego w możliwość szczęścia z takim mężem. Bo Ludwik — tłumaczył jej hrabia — jest typem dość pospolitym w sprawach, których ona nie znała. Ta jego rubaszność, otwartość, prostoduszność, te wyskoki bujnej natury, objawiające się w formach, może czasem nieco surowych, dowodzą właśnie szlachetnego gruntu. Ludwik był sierotą, dzieckiem stepów; żyła w nim fantazya przesławnych niegdyś bałagułów, o których oryginalności ona pojęcia mieć nie mogła. Ci bałaguli — byli to dziwacy, paliwody, monstra w swoim rodzaju, ale też nieraz byli to ludzie tak wybitnych zalet, że zjednywali sobie niemi szacunek całego społeczeństwa. Bo ona, Mariola — tłómaczył dalej hrabia,—nie zna stron rodzinnych Ludwika, nie rozumie, jak odmienne warunki składały się tam na wytworzenie nieszablonowe charakterów. Ludwik, wychowany w Czajnikach, w pałacu o stu pokojach, w dobrach, liczących setki tysięcy morgów ziemi, nigdy od nikogo niezależny, niezależny też i od stosunków materyalnych, musi się różnić od młodzików, wiecznie czemś skrępowanych, i czatujących tylko na dobry ożenek.

(Ciąg dalszy nastąpi).

nastające się, założyła nowe osady Puteoli, Paleopolis (dzisiejszy Neapol) i grecką cywilizacyę na cały półwysep włoski rozpostarła. Stąd też pochodzą owe „księgi sybillińskie", które od króla Tarkwiniusza czasów aż do Konstantyna W. służyły mężom stanu starej Romy za święte źródło rad zbawiennych i boskich objawień. Sterczą jeszcze na wulkanicznej pełnej grot i jaskiń skale wspaniałe ruiny Akropolu, a na ruinach świątyń Apollina, Dyany, Gigantów (olbrzymów) i Serapisa rozsiadły się rozkosznie winnice.

Klasyczna to ściśle ziemia ten Neapol z okolicą, bardziej niż inny płat Italii, bo opiewana przez wieszczów, których pokoleniom całym przez lat 2000 służyli i służą za podstawę wykształcenia. I doznaje się dziwnego uczucia a rzewnego, gdy chłopięce wrażenia studyów klasycznych, spotęgowane plastycznem przedstawieniem poezyi i młodą wyobraźnią, widzi się tu zrealizowane; rzeczywistość nie zawsze odpowiada fikcyi poetycznej.

Nazajutrz parowcem z portu św. Łucyi na morze. *Mare tyrrhenum*, które oblewa Neapol, zasiane gęsto wulkanicznej formacyi skalistemi wyspami, opiewanemi także przez starych wieszczów. Oprócz tych wspomnień klasycznych i wspaniałego widoku na morze i Neapol, oprócz pamiątkowych tablic na domach, w których znakomici mężowie chwilowo zamieszkiwali, nie przedstawiają one nic nadzwyczajnego, przyjemne są jednak nad wszelki wyraz swem patrokatem różnojęzycznem towarzystwem, które się na nich skupia. W tym właśnie czasie dni, kiedy blisko 2000 członków lekarskiego kongresu rzymskiego z żonami i córkami dwoma osobnymi pociągami przybyło na zwiedzanie Neapolu, a przecudna pogoda sprzyjała wycieczkom.

Berlin 12 kwietnia.

(:) Okres ciszy zupełnej nastał obecnie w polityce. Po załatwieniu traktatu handlowego z Rosyą parlament świeci przeważnie pustkami. Z wyjątkiem starych wilków parlamentarnych, którzy, nawiasem mówiąc, przeważnie z należą do wskutek braku innego rozrywkowego zajęcia nie opuszczają żadnego posiedzenia, niewielu deputowanych zjawia się na sali obrad i jak miecz Damoklesa, wisi bezustannie nad ciałem prawodawczem niebezpieczeństwo przerwania obrad z powodu niedostateczności prawomocności uchwał obecności członków. Różne są przyczyny tej nieciekawej apatyi prawodawców. Jedni tłómaczą się brakiem wynagrodzenia za spełnianie obowiązków poselskich, uniemożliwiającym osobom mniej zamożnym pobyt w stolicy jednostkom, nie rozporządzającym dość znacznym majątkiem lub dochodami, płynącymi z innego źródła. Drudzy upatrują główną przyczynę w przybierającem coraz groźniejsze rozmiary zniechęceniu tak w ogóle w szerokich sferach ludności jak i pomiędzy jej reprezentantami do spraw politycznych.

Z samej natury rzeczy i w narodzie maleje coraz więcej zainteresowanie się sprawami parlamentarnemi, a pośrednio także politycznemi. Coraz wyraźniejsze znużenie parlamentaryzmu stwierdzić się daje zresztą prawie we wszystkich innych konstytucyjnych państwach Europy. Nigdzie jednak to zjawisko nie występuje tak jaskrawo jak właśnie w Niemczech. Dziwić się temu trudno. Niemcy bowiem są i dzisiaj jeszcze krajem na pozór tylko parlamentarnym. Mimo wszystkich pozorów rządu, nie są właściwie niczem innem, tylko młóceniem pustej słomy. Przeciwne zaś rządowi uchwały większości nie wywołują żadnego groźniejszego zatargu, nie obalają gabinetów, ani też przyczyniają się do zmiany kierunku polityki. Co najwyżej, nieposłuszny parlament zostaje rozwiązany i ustępuje miejsca reprezentacyi, odpowiadającej lepiej widokom i potrzebom władzy wykonawczej.

W obec tego nietylko nie przeraża, ale nawet nie zajmuje nikogo, z wyjątkiem zainteresowanych bezpośrednio czynników państwowych, przygotowujący się obecnie zatarg pomiędzy parlamentem a rządem. Pomimo widocznego już dziś oporu znacznej większości ciała prawodawczego, rząd występuje na nowo ze swym projektem reformy finansów państwa. Opracowany przez ministra skarbu, dra Miquela, ten projekt, dążący do uwolnienia Rzeszy z pod zależności finansowej od związkowych państw niemieckich, zasługuje w zupełności na uznanie. W zasadzie też zgadzają się na tę reformę wszystkie prawie stronnictwa. Większość jednak uważa słusznie obecną chwilę ekonomicznego zastoju, zwiększonego jeszcze nowymi wydatkami na armię, za najmniej odpowiednią do przeprowadzenia dzieła, połączonego z tak znacznymi kosztami. Ale przebiegły dr. Miquel nie traci nadziei, że uda mu się dojść do celu. Zachowawcy, pomimo rozgoryczenia z powodu traktatu handlowego, staną w tej sprawie po stronie rządu. Oprócz tego minister skarbu zjednał sobie poparcie blizko połowy stronnictwa centrum; potrzeba więc tylko drugiej połowy, a projekt będzie miał zapewnione zwycięstwo. Szkoda tylko, że druga ta połowa składa się z południowo-niemieckich, przeważnie bawarskich deputowanych, a więc reprezentantów partykularyzmu, przeciwnego zasadniczo wyrażonym w reformie finansowej dążeniom ku większej niż dotychczas centralizacyi. Ponieważ zaś nie ma najmniejszych widoków, aby którekolwiek z innych stronnictw odstąpiło od swej opozycyjnej postawy, przeto los reformy finansowej już dziś uważać można za rozstrzygnięty. Nie wywoła to jednak żadnych groźniejszych komplikacyi; prawdopodobnie rząd nie ucieknie się nawet do wypróbowanego w innych wypadkach środka rozwiązania parlamentu. Prowadzenie walki wyborczej pod hasłem nowych podatków byłoby krokiem zbyt ryzykownym. Rząd zadecyduje się niewątpliwie na wycofanie do stosowniejszej chwili do przeprowadzenia swej reformy.

Sprawy zakulisowe ministeryum spraw zagranicznych w dalszym ciągu stanowią przedmiot ożywionej dyskusyi dziennikarskiej i ogólnego zainteresowania. Jak wiadomo, pierwszy poruszył tę sprawę antisemicki *Kladderadatsch*, zarzucając kilku najwyższym urzędnikom ministeryum spraw zagranicznych, a mianowicie radcom legacyjnym Holsteinowi i Kinderlen-Waechterowi knowanie intryg, nepotyzm i przekupstwo. Obecnie pochwycił sensacyjną tę strawę najkrzykliwszy z krzykliwych tutejszych pismaków żydowskich, kryjący się pod pseudonimem Hardena, żydek poznański Witkowsky, redaktor tygodnika *Die Zukunft*. Odkrycie *Kladderadatscha* zyskał naturalnie p. Wittkowsky z cechującą go skromnością, zrobił z muchy słonia, i zarzuty, skierowane przeciw kilku urzędnikom, rozszerzył na sfery daleko wyższe. W kampanii tej, skierowanej swem ostrzem przeciwko kanclerzowi, a nawet wyżej, sekundują Hardenowi zakonnie wydawane przez konsorcyum, złożone z przyjaciół Bismarka z hr. Donnersmarkiem na czele, tutejsze *Neueste Nachrichten*, domagając się śledztwa sądowego i interpelacyi parlamentarnych w sprawie zarzutów, stawianych urzędnikom ministeryum spraw zagranicznych.

Naturalnie dla nikogo nie jest tajemnicą, zkąd ta kampania czerpie swe natchnienie. Jeśli już nic innego, to energiczna obrona przez wymienione organa prasy b. ambasadorów w Konstantynopolu i Rzymie, Radowitza i Schloezera, znanych jako kreatury bismarkowskie, dowodzi, że *spiritus agens* tej całej walki znajduje się we Friedrichsruh.

Zaniechanie otwartej walki przeciwko potężnemu rządowi wyraźnie [illegible] „pustelnik z lasu Saskiego" miotaniem na swych przeciwników zatrutych strzał z za płota. Zgrzeszyłby wielką naiwnością, ktoby sądził, że przy obecnym kierunku rządów, mianowicie we służbie dyplomatycznej, nie odgrywają żadnej roli w Niemczech wpływy zakulisowe. Ale wpływy te w daleko wyższym stopniu istniały i za rządów ks. Bismarka, z tą tylko różnicą, że kanclerz faworyzował wtedy osobistości ślepo sobie oddane, a nie znosił najmniejszej samodzielności. Głównym twórcą [illegible] w niemieckim świecie urzędniczym [illegible] wpływy zakulisowe [illegible] jaki [illegible] ks. Bismarka, który dzisiaj z takiem oburzeniem występuje przeciwko tym zakulisowym wpływom, będących jedynie logicznymi wynikami jego polityki, owocem jego siewu.

MAŁY FELJETON.

Malarstwo w XIX wieku.

Szkopułem, o który rozbijały się i rozbijają dzieje tej lub owej sztuki, było zawsze to, że autor nie umiał być dość objektywnym. Autor taki sam doskonały znawca przedmiotu i przejmujący się nim do głębi, ma i musi mieć własne upodobania, sympatye, gusta, których piętno bezwiednie na dzieło swoje kładzie. Im zaś bywa namiętniejszym, bardziej krewkim, bardziej w przedmiocie rozmiłowanym, tem jaskrawiej i silniej wychodzi na jaw tendencya, tem bezwzględniej stara się przechylić szalę sądu, na stronę tej lub owej postaci, tego lub owego kierunku, tej lub owej barwy, dziej mu do duszy przemawiającej idei. To zaznaczywszy, przechodzę do rozbioru dzieła, które wychodzi zeszytami w Monachium, nosi tytuł: „Geschichte der Malerei im neunzehnten Jahrhundert", a którego autorem jest p. R. Muther.

Dzieło to pisane jest znakomicie i wiary się dać nie chce, aby Niemiec mógł się zdobyć na stylowe prowadzenie naukowego dzieła w ten sposób. Muther, dość powiedzieć, pisze — jak Francuz. Z dziesięciu 200-stronnicowych zeszytów wyszło już dziś więć i ani w jednym rozdziale werwa autora, swada, dosadność, obrazowość, polemiczne zacięcie, jasność i erudycya nie osłabły. Będzie to dzieło niezmiernie znamienne dla czasów, które przeżywamy; będzie to pomnik idei wyległych na niwie zapatrywań się na malarską sztukę przy schyłku naszego stulecia, będzie to pełny wyraz najnowocześniejszego prądu, w którego bystre nurty radziby całą sztukę malarską zawrócić — niektórzy. A że prąd to silny, a że zwolennicy jego walczą do upadłego, a że apostołowanie czystej wody *modernizmu* w sztuce jest dziś najulubieńszym sportem powołanych i niepowołanych, tem większe znaczenie nabiera dzieło Muthera, tem skrupulatniej liczyć się z niem wypada i wypadnie jeszcze nieraz.

Z jakiego założenia wychodzi Muther?

Ongi mówiono sobie: arcydzieła pozostawione nam przez Grecyę są arcydziełami arcydzieł; potem mówiono sobie: nie, arcydziełami arcydzieł są dzieła sztuki z czasów „odrodzenia" i dalej kunszt malarski pójść nie jest w stanie. Następnie, już w ciągu bieżącego wieku, zapewniano, że dzieła sztuki w najnowszych czasach powstałe, są inne co prawda, niż arcydzieła greckie i renesansu, jednak stoją na równej z niemi linii, czyli innem słowem, że wieki, każdy na swoją rękę, są w stanie wydawać jednakowej wartości arcydzieła. Nareszcie, przyszli krytycy najnowsi i zawyrokowali, że: ani słowa, wspaniałe są klasyczny greckie i arcydzieła odrodzenia, a nawet wcale piękne są obrazy powstałe ostatniemi czasy, jednak — sztuka malarska zrobiła dopiero teraz olbrzymi krok naprzód i w ostatniej niemal chwili, pod ręką niektórych mistrzów doszła do swego — apogeum!

Malarstwo — powiadają — kroczą nieustanną drogą postępu, zdobyło nową, dziewiczą placówkę i stanęło dziś na wyżynach, których stopą swoją nie tknęli ani mistrze klasyczni ani renesansowi.

Jest to ogłoszenie *urbi et orbi* postępowości w sztuce i uderzenie w rozgłośną fanfarę na cześć wytworów malarskich najnowszego stempla.

Oto założenie Muthera, oto stanowisko, z którego patrzy na dzieje malarstwa i wieków minionych i bieżącego wieku. Z latarką własnych przekonań, upodobań i teoryi w ręku obchodzi on place i zaułki sztuki malarskiej, wygrzebując wszędzie — dowody dla poparcia z góry postawionej tezy.

Z końcem XIX wieku zdemokratyzowała się sztuka; z pod opieki arystokratycznych mecenasów przeszła pod pieczę mieszczańską; popularną się stała. Zadania, które jej stawiano, przeszły; już Hogart nie będzie rysował moralizujących kazań, Greuze nie będzie malował [illegible] Dawida z roku 1791 [illegible] ludu za pomocą obrazów, wyobrażających czyny bohaterskie, przebrzmi bez echa. Malarstwo pozbędzie się raz na zawsze roli publicznego organu, i stanie się [illegible] ani do spełniania bohaterskich czynów, ani do praktykowania cnót wszelakich u domowego ogniska. Z rodzajowych obrazków zniknie — anegdota. Okaże się, że nie ma najmniejszej racyi szukać w obrazie „pierwszej idei", tego lub owego „tematu", jak najniesłuszniej byłoby żałować, że pod symfonię Beethovena nie ma podłożonego libretta.

Wyzwolenie malarstwa z pod tych krzewów, jakich stawiano mu niesłusznie wymagań i przestarzałych przesądów, oto pierwszy krok ku doskonałości uczyniony. Z chwilą gdy sztuka zaczęła być jako sztuka, gdy sztuka zaczęła istnieć dla siebie, poczęło na plan najdalszy ustępować to, co było literackie, historyczne, anegdotyczne, sentymentalne.

Géricault, Delacroix, Courbet, Manet—oto ogniwa jednego, wspaniałego łańcucha rozwoju, idącego przez wiek XIX. To są nowatorowie istotni, to zdobywcy, to koryfeusze modernizmu w malarstwie, modernizmu, będącego malarstwa nietylko ostatnim, ale i najdoskonalszym wyrazem!

Znika wszelkie naśladownictwo. Naśladownictwem był klasycyzm, naśladownictwem był romantyzm. Nareszcie przypomniano sobie raz przecie, co już przed wiekami wyrzekł Michał Anioł: „Kto za innymi idzie, nigdy ich nie wyminie." I w istocie wyminęli, wyprzedzili poprzedników swoich ci nareszcie, co z tradycyą wszelką zerwawszy, utarte porzucili drogi i śmiało rzucili się naprzód, słuchając tylko własnego uzdolnienia i własnej indywidualności. Byli to realiści, którym w udziale przypadło wysadzić z siodła romantyzm, tak zupełnie jak swojego czasu romantycy zajęli miejsce klasyków.

Realiści nietylko wydźwignęli z zapomnienia p e j z a ż. Nawet historyczne nowoczesne malarstwo nabrało, dzięki im, cech zbywających malarstwu historycznemu przeszłowiecznemu. Meissonier i Menzel już na szczudłach i koturnach nie chodzą. W dziełach ich są ludzie z krwi i kości, jedynie na czas pozowania przyobleczeni w dowolne kostyumy.

Na jednym tedy punkcie nie zdołali realiści wyswobodzić sztuki malarskiej z torów dawnych, mianowicie na punkcie roli, jaką w obrazie grać powinien kolor, farba. Kolorystyczność na obrazie znaną była dotychczas jedna tylko, ta, którą jaśnieją dzieła mistrzów średniowiecznych. Rzucono się tedy ją naśladować. Majstersztyków w tym kierunku dokonali we Francyi Courbet i Ribot, w Niemczech Lenbach, Leibl i Diez, naśladując do możliwych granic kolorystyczne właściwości Ribery lub Caravaggia. Ale okazało się rychło, że prowizoryczne zapchanie luki naśladownictwami nie posuwa malarstwa ani o krok naprzód.

I zjawił się na widowni *plein-air*. Odkryto nową Amerykę. Przekonano się, że postacie oblane dokoła światłem i powietrzem inaczej wyglądają, niż ustawione w pracowni na estradzie. Rozmiłowano się w jasnych, czystych, powietrznych tonach *plein-air'u*. Sięgnięto po wzory aż do Japończyków i — z japońskich też wzorów wyrósł nareszcie najkapitalniejszy przedstawiciel czystej krwi modernizmu w malarstwie — Manet.

W chwili zjawienia się impresyonisty Maneta na widowni, malarstwo europejskie opierało się na trzech zasadach. Jedni, jak Cabanel i Bouguereau malowali wszystko „na biało"; drudzy nastrajali obrazy swoje na skalę ciepłej, weneckiej brunatności; trzeci wreszcie, opierający się na prerafaelitach i Menzlu, w imię prawdy i szczerości bezwzględnej, brali *in crudo* tony lokalne, to jest malowali drzewa na zielono, dachy na czerwono, niebo na niebiesko, ziemię na szaro, nie troszcząc się o żadną kolorystyczną harmonię. I przyszedł Manet i rozwiązał zagadkę, w jaki sposób można na obrazie szczerym być zupełnie, a jednak zarazem i harmonię kolorystyczną na nim osiągnąć. Wynalazł on łącznik dla najrozmaitszych sprzeczności lokalnych tonów; łącznikiem tym jest powietrze. Na miejsce brunatności samowolnych, na miejsce surowizn szczerych, ale nie wystarczających, wystąpiły zalewające obraz cały promienie słoneczne, opłynęło obraz cały pochwycone genialnie — powietrze i oto po 100 latach walki i rozwoju wydało nareszcie malarstwo obrazy, będące dzięki tej właśnie harmonii swojej alfą i omegą sztuki malarskiej.

Rozmaitość zastąpiła jednostajność, indywidualizm zastąpił szkołę, najśmielszy subjektywizm wyparł pseudo-idealne, szablonowe wytwory. Zwarły się ze sobą szeregi „młodych", w pełnem słowa znaczeniu „modernistów", zwarły się w grupę, spojoną wspólną cechą: wyparciem się wszelkiego zgoła naśladownictwa.

Od historycznego i rodzajowego malarstwa do właściwej sztuki malarskiej, od naśladownictwa stylów do własnych na przyrodę poglądów, od antyku do życia, od abstrakcyi do charakterów, od typowości do indywidualności, z dróg epigonów na własne tory, ze szkoły do osobistych studyów na własną rękę— oto mozolna, długa, pełna jednak chwały droga, przebyta przez nowoczesne malarstwo w ciągu XIX stulecia.

I po takiej to drodze stąpa w dziele swojem Muther. Z rozpędem i pewnością siebie, świadczącą o doskonałem panowaniu nad ogromem materyału, kroczy naprzód, zapatrzony w ideał swój, w nowopowstały, pstry impresyonizm Maneta i jego satelitów.

Zaliż istotnie szczyt to sztuki malarskiej, ostatnie jej słowo?

Za czasów Rafaela, zdawało się światu, że szczytem sztuki malarskiej było „Przemienienie" lub „Sykstyńska", za czasów Watteau obwołano „Wyjazd do Cytery" ostatniem słowem malarskiego kunsztu, potem nie było nic nad obrazy Davida, potem nic ponad Millet'a i tak dalej, z wieku w wiek, z gustu w gust, z wyroku w wyrok, aż i oto doczekaliśmy chwili, że na najwyższym stopniu w hierarchii malarskiej wszystkich czasów i wieków zasiadł — Manet.

Tak przynajmniej głoszą na schyłku XIX wieku przez usta wymownego, najświeższego smaku rzecznika R. Muthera. Dobrze, że rozstrzelone głosy modernistów zlały się niejako w jedno, gruntowne dzieło, które pozostanie pomnikiem poglądów tych, dziś najmodniejszych.

W pomnikowości tej leży główna waga dzieła Muthera. Tuż w ślad za nią idą inne, wysokie zalety, przedewszystkiem zaś wyczerpujące, żywe, jasne obrobienie wielkiego materyału. Trzeba szerokiego znawstwa, niepośledniej tradycyi, wytrawności sądu i pisarskiego, pierwszorzędnego talentu, aby dzieło takie napisać. Można nie zgadzać się z autorem „Dziejów malarstwa w dziewiętnastym wieku", ale nie podziwiać go, byłoby niesprawiedliwością.

Zdawałoby się nadto, że Muther, zapamiętały doktryner kiereszować będzie po drodze wszystkich, co — jego zdaniem — kłody rzucali w drogę kroczącemu ku rzekomej doskonałości malarstwu. Tak nie jest. Czy to Fortuny, czy to Piloty, czy to Makart, bierze on ich pod ścisłą analizę, ale nie rozbija ziarn wraz ze skorupą, jeno sumiennie co dobrego w nich znajdzie, podnosi i chwali.

Wielki jego przegląd sięga do najnowszych objawów malarskiej sztuki; dość powiedzieć, że na szczegółowym planie dzieła, podanym w prospekcie, już figuruje na samym końcu nazwisko Fr. Stuck'a, któremu pewien rozgłos dała dopiero zaprzeszłoroczna wystawa monachijska! Wnosić stąd łatwo, ile nazwisk obejmuje „Historya" Muthera. A jednak, w całem dziele nie ma wymienionego nazwiska a n i j e d n e g o polskiego malarza. Zgodzićby się na to można, biorąc pod uwagę, że do postawionego przez Muthera ideału malarstwo nasze nie dorzuciło swojej cegły i że w ogólnym malarstwa rozwoju nie odegrało jeszcze wybitnej roli. Ale — skoro Muther nie pomija nawet takiego, zdaniem jego „wstecznika", jak Makart, dziwić się można, że o takim potentacie, jak Matejko, zapomniał....

P. S. W chwili, gdy słowa te kreślimy, otrzymujemy 10-ty zeszyt dzieła Muthera, a w nim oto co czytamy: „Ponieważ na innem miejscu zabrakło mi po temu sposobności, wymienić mi tu wypada malowane z werwą i rycerskością obrazy Józefa Brandta, najlepszego ucznia Fr. Adama. W jego utarczkach konnicy iskrzą się i mienią postacie rycerzy i ich rumaków. Wszystko tam arystokratyczne, zarówno dystyngowany szary koloryt, jak i zgrabny, pełen szewaleryi rysunek. Wszystko dysze życiem, siłą, ogniem i świeżością; jest to Wschód Eugeniusza Fromentin'a, przetłómaczony na polski". Matejko figuruje tylko w spisie artystów, ale w tekście wzmianki o nim nie ma. „Henryk Siemiradzky — pisze Muther — rzucił się na tworzenie panoramowych scen z życia Greków i Rzymian, popsuł jednak pełne smaku i słoneczności krajobrazy swoje lalkowatym, martwym sztafażem". „Wrażenie siły i prawie barbarzyńskiej surowości sprawiają obrazy Wacława Szymanowskiego, ale każdy jego utwór, począwszy od dziko ruchliwej „Kłótni w karczmie", a kończąc na „Modlitwie" — jest dziełem poważnem, świadczącem o szerokim na sztukę poglądzie".

Tylko tyle o naszej sztuce. Niech to będzie dla nas miarą tego, jak mało my jeszcze znaczymy w świecie.

KRONIKA.

Lwów 18 kwietnia.

Na posłuchaniu u Cesarza był onegdaj marszałek krajowy ks. Eustachy Sanguszko.

Deputacya w sprawie wystawy. Uzupełniając naszą notatkę o pobycie w Wiedniu pp. Stan. Badeniego, Gorayskiego i Marchwickiego, donosimy na podstawie relacyi dzienników wiedeńskich, że Cesarz przeznaczył arcyks. Karola Ludwika do otwarcia naszej wystawy. Gdyby arcyks. Karol Ludwik, który jest chory, do tego czasu nie wyzdrowiał, w takim razie zastąpi go inny arcyksiążę. Deputacya złożyła wizyty po kolei wszystkim ministrom z wyjątkiem Plenera i Wurmbranda, gdyż pierwszy z nich leżał chory, a drugiego nie było w Wiedniu. Prezydent gabinetu ks. Windischgraetz w imieniu wszystkich ministrów powiedział: „Żadnego z nas nie będzie brakowało we Lwowie".

Stypendya P. Namiestnik nadał stypendyum z fundacyi im. Arcyksięcia Rudolfa o rocznych 130 złr. uczniowi 4 tej klasy szkoły realnej we Lwowie Teofilowi Baranowi, a stypendyum z fundacyi przemyskiej o rocznych 130 złr. uczniowi VI-tej klasy gimnazyum w Przemyślu Wincentemu Zalewskiemu.

Agenor hr. Gołuchowski, ordynat na Skale, nadał stypendyum z fundacyi im. Arcyks. Gizeli o rocznych 130 złr. w. a panu Karolowi Kiselli, uczniowi IV-go roku budowy maszyn na politechnice lwowskiej.

Kurs w niższej szkole rolniczej w Jagielnicy, która ma na celu kształcenie przedewszystkiem synów włościańskich na zdolnych i praktycznych gospodarzy, rozpocznie się dnia 1go lipca. Wszelkich szczegółów udziela dyrekcya.

Honorowe obywatelstwo nadała Rada gminna m. Sądowej Wiszni staroście panu Antoniemu Panickiemu, przeniesionemu z Mościsk do Starego Miasta.

Krzyż pamiątkowy za niewinnie pomordowanych Krożan poświęcono dnia 8 bm. w Kamienicy, wsi hr. Potulickiego, w powiecie limanowskim. Podniosłą przemowę do licznie zgromadzonego ludu wygłosił ks. kan. Górski

Mianowania. Sędzia powiatowy w Stryju Ludwik Brożyński otrzymał tytuł i charakter radzcy sądu krajowego.

Konkursa. Izba notaryalna w Krakowie ogłasza z terminem do 12go maja rb. konkurs na nowo otworzoną posadę notaryusza w Jaworznie. — Urząd podatkowy w Pczeniżynie poszukuje rutynowanego dyetaryusza.

Wiadomości dyecezyalne. Gr. kat. dyecezya stanisławowska: Kanoniczną instytucyę otrzymali księża: Michał Mysuła na Tekuczę w pow. kołomyjskim, A. Gielitowicz na Kossów-miasto, Bazyli

---

73

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.

ŚWIĘTY PTAK

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

(Ciąg dalszy).

— I tu by się można od biedy wyspać. Grzęda jest miękką, a nad głową cień palmowy. Ale znam ciebie, Toku! znam twoje przywary i wiem, że jakbyś zasnął, takbyś chrapał, jak hipopotam. Bo masz ten zwyczaj, Toku! barbarzyński zwyczaj, który odziedziczyłeś po twoich dzikich rodzicach, ludożercach, których oby Set bóg pustyni wyniszczył! Mimo całej ogłady, której nabyłeś w Egipcie, nie odzwyczaiłeś się od chrapania, a jakbyś tu chrapnął, gotowi ci Grecy pomyśleć, że nosorożec wyrwał się ze źwierzyńca Faraonowego i parska w kłąbie za nimi. Bo ty, Toko, tak chrapiesz, jak twój rodak, nosorożec. A jak się ci głupi barbarzyńcy domyślą nosorożca, tam gdzie jest człowiek, co wiele więcej wart od nich, dadzą drapaka; czmychną, uciekną, a ty ich nie potrafisz wytropić, nie dowiesz się tego, co knują i nie potrafisz potem Abibaala usmarzyć w oliwie, tak jak na to zasłużył. Więc cierpliwości trzeba, mój Toku! Nie chrap, nie śpij wcale, nie powracaj do domu. Siedź tu i przypatruj się. Mniejsza o to, że teraz ich rozmowy nie rozumiesz. Czego się nie dowiesz po słowach, tego się dowiesz po czynach. Zobaczymy, co zrobi Greczynka, kiedy się przestanie gzić z tym białym czartem o żółtych włosach, które nosi na własnej skórze a nie na cudzej, jak przyzwoity Egipcyanin. Fe! obrzydliwość mnie bierze na samą myśl o niechlujstwie tych ludzi, którzy sobie głowy nie golą, choć nie są białogłowami! Że się Elpinoe też nie brzydzi gzić się z takim kosmatym dzikunem. Nie darmo to ludzie powiadają, że różne są na świecie gusta. Jednak wartoby wiedzieć, jak się ten dzikun nazywa! Tu widzę wyraźnie, że to jest jeden ze starszych w wojsku Faraona, bo ma dużo złota i srebra na sobie. A jeźli z Hebrajczykami spiskuje na zgubę nas przyzwoitych ludzi, musi z nimi przecie czasem rozmawiać. A jeźli z nimi rozmawia, nie może z nimi mówić ani językiem psim, ani baranim, ale ludzkim. Bo hebrajskie psy nie umieją beczyć po grecku, a greckie barany nie umieją szczekać po hebrajsku. Więc jak mądry hebrajski kundys chce głupią, choć rogatą grecką trzodę gdzieś na jej własną zgubę zapędzić, musi do niej gadać po egipsku. A jak zagada po egipsku, to ja go zrozumiem, bo ja jestem przecie człowiek dobrze wychowany. A jak zrozumiem, o co chodzi, doniosę o tem Amencie, albo sam zrobię, co potrzeba.

Takiemi to myślami pocieszał się Toko i doczekał się najpierw tego, że dwaj egipscy studenci odeszli gdzieś przechadzką, pozostawiając kłąb w wyłącznem posiadaniu płowej pary, a potem tego, że mały człowiek o niepięknych rysach, otulony w burnus, zbliżył się do Greków, stanął koło nich i przemówił do nich po egipsku. Był to Achab, główny i najczynniejszy spólnik Abibaala, w uknutym przez nich spisku.

Rzekł pytająco:

— Więc i cóż? Czy się Danaus pozbył obaw i namysłu? Czy pozwoli swoim ludziom powstać pospołu z Azami i Tyrsenami?

— Czy nie masz jeszcze wiadomości od Abibaala? — spytała się na to Elpinoe — czy ci Enoch nic nie mówił?

— Jeszcze się z nim nie widziałem od czasu jak był u ojca. Spędziłem ranek na naradzie z przewódzcami mojego narodu i musiałem zwalczać fanatyków spodziewających się wszystkiego po cudzie Adonaja, naszego Boga i nie rozumiejących tego, że bogowie kierują sprawami ludzkiemi za pomocą czynów ludzkich.

— Tymczasem bogowie Greków zrobili już cud. Wpadłam w szał proroczy w obecności wszystkich wodzów greckich i nieśmiertelni dali przez moje usta rozkazy, przed któremi Danaus uchylił głowę.

— Więc Danaus przystąpi do czynu? Stanie na czele powstania, jak niegdyś Az?

— Tak jest, ale nie zaraz, nie dziś.

— Wiem, wiem. Trzeba przedtem wszystko przygotować, a mamy zacząć od porwania Hesz-Akery. Trzeba czekać aż do wielkiego święta.

— Idź do domu Achabie! Tam powie ci Enoch wszystko dokładnie. Boję się tu rozmawiać głośno po egipsku, bo w ogrodach nie można nigdy być pewnym tego, czy nas kto nie podsłucha.

— Masz słuszność. Ale dostrzegłszy cię tu, nie mogłem się powstrzymać od tego, abym nie zaspokoił mojej ciekawości.

Po tych słowach poszedł Achab dalej swoją drogą. Toko dowiedział się z krótkiej rozmowy aż nadto wiele. Jeśli ludzie uwierzą tylko jego świadectwu, będzie mógł zgubić znienawidzonego przez siebie szafarza. Amento jemu uwierzy; ale czy kto potem uwierzy Amencie? Abibaal stał zbyt silnie w łasce Amenemhy, aby Amento mógł otworzyć oczy dobrowolnie zaślepionemu starcowi. Prędzej sprowadzi na siebie podejrzenie jakiejś zawiści nikczemnej, popychającej do kłamstwa. Jak będzie mówił z Amenemhą, gotów tylko stracić posadę swoją, i położenie stanie się gorszem i niebezpieczniejszem jak było. Na to nie można było narażać Amenty i samego siebie. Bo jak Abibaal dowie się o tem, że Toko był donosicielem, znajdzie sposób, aby Toka zgubić.

Więc cóż? Czy nie najbezpieczniej było zamilczeć całą sprawę, powiedzieć Amencie, że nie ma nic, że nie mógł dostrzedz nic takiego, coby jego domysły utwierdzało? Chyba tak? Ale co się stanie wtedy? Było jasnem, że jakieś straszne niebezpieczeństwo zwisło bezpośrednio nad domem Amenemhy. Początkiem nowego powstania wojsk jasnowłosych miało być porwanie Hesz-Akery w wielkie święto Amuna, do którego Elpinoe miała być pomocną.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Żyławy na Ostrynię w pow. tłumackim, Maksymilian Kruszelnicki na Zabłotów w pow. śniatyńskim, A. Bilinkiewicz na Wołczkowce koło Śniatyna i J. Wojcarowski na Toporow e koło Horodenki. — Ks. A. Sabat zrezygnował z prezenty na Kosmacz w powiecie kossowskim.

W Czytelni katolickiej odbędzie się we czwartek 19 bm. pogadanka p. Antoniego Pawęckiego p. t.: „Pieśni ludu ruskiego". Początek o godz. 7 wieczorem.

Egzaminy dojrzałości. Piśmienne egzaminy dojrzałości w szkołach średnich w Galicyi i Krakowie rozpoczną się w bieżącym roku szkolnym dnia 15go maja. Ustne egzamina dojrzałości w szkołach średnich rozpoczną się w gimnazyach: w Bąkowicach pod Chyrowem dnia 25 czerwca, w Bochni 11 czerwca, w Brodach 9 lipca, w Brzeżanach 7 lipca, w Drohobyczu 21 czerwca, w Jarosławiu 25 maja, w Jaśle 20 czerwca, w Kołomyi 19 czerwca, św. Anny w Krakowie 4 czerwca, w III gimn. w Krakowie 4 czerwca, w akademickiem we Lwowie 28go maja, w II we Lwowie 11 czerwca, Franciszka Józefa we Lwowie 11 czerwca, w IV we Lwowie 21 czerwca, w Nowym Sączu 6 czerwca, w Przemyślu 6 czerwca, w Rzeszowie 2 czerwca, w Samborze 23 czerwca, w Sanoku 19 czerwca, w Stanisławowie 2 lipca, w Stryju 27 czerwca, w Tarnopolu 25go czerwca, w Tarnowie 14go czerwca, w Wadowicach 21-go czerwca, w Złoczowie 19-go czerwca. W szkołach realnych: w Krakowie dnia 19 czerwca, we Lwowie 2go czerwca, w Stanisławowie 12go czerwca.

Śluby. Dnia 26go bm. odbędzie się w Wierzbiążu pod Kołomyją ślub panny Wilhelminy Elskiej, córki śp. Jana i Matyldy z Flechnerów, z dr. Juliuszem Leo, prof. uniwersytetu Jagiellońskiego. — W kościele parafialnym w Limanowej odbył się ślub panny Maryi Ludwiki Ostrowskiej, córki Klementyny z Dembińskich i śp. Tomasza z p. Wiktorem Otto Sabba Sawickim, adjunktem sądu obwodowego w Rzeszowie.

Morderstwo. Z Przemyśla donoszą, iż Zygmunt Hoszowski, aresztowany za morderstwo dokonane na księdzu Ardanie, przyznał się w śledztwie do zbrodni.

† Henryk Pillati, artysta malarz, umarł w Warszawie. Był on jednym z koryfeuszów odradzającego się u nas malarstwa pomiędzy latami 1850 a 1870, a zasłynął jako wyborny malarz scen historycznych, batalista i rysownik koni. Jako ilustrator ceniony był przez wydawców. Ś. p. Pillati umarł w 52 r. życia.

Ze sportu cyklarskiego. Wycieczka inauguracyjna lwowskiego klubu cyklistów odbędzie się w razie sprzyjającej pogody w niedzielę dnia 22 b. m. do Brzuchowic. Uczestnicy zbiorą się na dziedzińcu gmachu Wydziału krajowego o godz. 3½ po południu i wyruszą o godz. 4. Przyjazd do Brzuchowic przypadnie na godz. 5. Tam odbędzie się podwieczorek w lasku, zdjęcie fotograficzne grup cyklistów i wspólna zabawa, poczem nastąpi powrót do Lwowa przy świetle latarek.

Z Rawy ruskiej nam piszą: Za inicyatywą tutejszej Zwierzchności gminnej zwołane zostało na dzień 15 b. m. walne zgromadzenie zamierającego już prawie Towarzystwa ochotniczej straży ogniowej. Wybrano jednogłośnie naczelnikiem p. Karola Stachowa, starszego nauczyciela szkoły 5-klasowej w miejscu. P. Stachow był już dawniej naczelnikiem. Wszyscy ufają w jego energię.

Z Husiatyna nam piszą: Dnia 14 b. m. obchodzono tu uroczyście otwarcie powiatowego Towarzystwa zaliczkowego, mającego na celu podniesienie dobrobytu ludności rolniczej i rzemieślniczej. Po wysłuchaniu mszy św. w kościele parafialnym zgromadziło się w sali Rady powiatowej obywatelstwo z okolicy, inteligencya, naczelnicy gmin, mieszczanie i włościanie, a prezes powiatu i pp. A. Cieński i F. Dziurzyński objaśnili o zadaniu i dążnościach humanitarnych Towarzystwa. Następnie zebranej ludności rozdano kilkaset broszur i obrazków na pamiątkę jubileuszu Kościuszki, z którego to tytułu odbyło się w dniu 4 b. m. nabożeństwo.

Pożar. Wczoraj o godzinie 9 rano wybuchł ogromny pożar w Nowym Sączu. Całe miasto stoi w płomieniach. Ogień wszczął się w śródmieściu koło gmachu pocztowego i gnany silnym wichrem szerzył się z wielką gwałtownością. Spłonęła już cała środkowa część miasta, a mianowicie kościół parafialny, kircha ewangelicka, kościół i klasztór OO Jezuitów, gimnazyum, poczta i wiele domów prywatnych. Z Krakowa na pomoc płonącemu Sączowi wysłano dwa plutony straży ogniowej, tabor stacyi ratunkowej i 10 medyków. Silny wicher miota morzem płomieni i utrudnia ratunek. Od iskier rzucanych wiatrem zajęły się wsie o 5 kilometrów od Sącza położone.

Uznanie. Otrzymujemy następujący list: Oddział żandarmeryi w Hermanowicach pod Przemyślem od czasu swego istnienia w tutejszym okręgu, położył niemałe zasługi w obronie własności i bezpieczeństwa mieszkańców. Rzec można, iż oddział ten jest prawdziwym biczem Bożym dla nieuznających siódmego przykazania. Komendant oddziału p. Andrzej Pill i jego podwładny personal są ustawicznie w ruchu: dla tych panów nie ma dość ciemnej i dżdżystej nocy, ani zamieci śnieżnych, oni są zawsze i wszędzie tam, gdzieby się ich najmniej spodziewać można; to też łany, lasy i spichrze nasze są zabezpieczone przed amatorami cudzej własności, a jeżeli się nawet zdarzy wypadek jakiej kradzieży, to jest że nie było przykładu, żeby zaraz naz jutrz nie został wyświetlony, na co sądy w Niżankowicach i Przemyślu mają niezbite dowody. Całe więc uznanie i szczera wdzięczność od mieszkańców należy się p. Pillowi i jego podkomendnym. *D. Nowakowski* przełożony obsz. dworsk.

Odezwa. Dnia 29 marca b. r. nawiedził gminę Meteniów, w powiecie Złoczowskim koło Zborowa straszny pożar, który podniecony silnym wiatrem, ogarnął całą wieś, obracając w zgliszcza z górą 80 zagród włościańskich, szkołę ludową i kilka budynków dworskich, tak, że z całej osady ocalała tylko cerkiew, dwór i kilka zagród włościańskich. Ratunek wszelki z powodu silnego wiatru okazał się niemożliwym a rozszalały pożar zniszczył do szczętu wszystkie zapasy zboża, paszy, sprzęty gospodarskie, odzież, oraz wiele bydła. Szkoda wynosi z górą 100.000 złr. i była zaledwie w jednej piątej części ubezpieczoną. Nędza w pogorzałej gminie jest wielka a rychła i wydatna pomoc bardzo potrzebna. Dla niesienia pomocy nieszczęśliwym, zawiązał się komitet z członków Rady powiatowej złoczowskiej, który zwraca się do serc litościwych z prośbą o nadsyłanie datków, choćby najdrobniejszych na ręce tegoż komitetu pod adresą Bolesław Gaszyn Wierzchleyski w Kabarowcach p. Zborów. *Bolesław Gaszyn Wierzchleyski* w. r. *Mieczysław Komarnicki* w. r. *Wiktor Treter* w. r.

Z Dobromilskiego nam piszą: Różnemi plagami raczył Bóg kraj nasz nawiedzić, ale jest jedna, która już od kilkunastu lat nie sporadycznie, nie chwilowo, ale ciągle trwa i ciągle się wzmaga. Tą plagą, to kolektanci na różne domy Boże. Czy chmura się oberwała, czy bania z tymi kolektantami pękła? tak sobie człek myśli, gdy nieraz co tydzień jacyś kwestarze się zjawią, z książkami, podpisami, pieczątkami, skarbonkami. Ale nie są to kwestarze z zakonów posyłani — lecz chłopcy tęgie, od cepa oderwane, a na włóczęgę w liczbie 209 par rozpuszczone po całej biednej Galicyi. Wszystkie paragrafy dadzą się ominąć, dowód właśnie na owem kwestarstwie. Jest ustawa, że za włóczęgostwo i niedozwolone żebractwo żandarm łapie, wsadzają do aresztu, a potem szupasem odstawiają. Teraz po wyjściu owej ustawy jest jeszcze gorzej, bo teraz jest pełno dozwolonego żebractwa z pieczęciami różnemi, które się pokrywa nazwą kolekty na domy Boże.

Są w niektórych miastach biura z całym aparatem, gdzie na żądanie dostarczają na kwestowanie za opłatą choćby i 600 chłopów, zazwyczaj bardzo podejrzanej konduity. Do jednej karczmy koło Przemyśla, przyszło dwóch kolektantów, kazali sobie zrobić jajecznicy po pół kopy jajach, przytem flaszkę wódki wychylili, chleba zaś zjedli po całym bochenku. A gdy się tak pożywili, rzecze jeden z obecnych tamże: „Jakoś kwesta nie źle wam idzie?" — Dosyć ludziska dają — a za nasze chodzenie, choć się lepiej zje, to my też z połowę do księdza doniesiemy. Wobec takiej natarczywej, bezwzględnej konkurencyi kolektantów na domy Boże, nie ma miejsca już na uczynki miłosierdzia i inne akty dobroczynne. A jednak w gruncie rzeczy kwesty te są nawet nielegalne. Uprawnieni są do kwesty: zakony żebrzące, np. Reformaci, Kapucyni, Bonifratrzy, a dalej Felicyanki, Siostry Bożej miłości. Te zakony mają prawo do naszej kieszeni, a my mamy obowiązek wedle możności z nimi się podzielić wedle słów: Masz mało, daj mało; masz wiele, daj wiele. Ale, gdzież im się podziać, gdzież im kwestować, kiedy kolektanci chłopscy, jak szarańcza, już wszystko zabrali. Po wsiach biorą i garstkę konopi i trochę jej i trochę pieniędzy. Tu mi się przypomina ustęp z katechizmu pod 7-mem przykazaniem zapisany: „kto bez potrzeby żebrze!" Znam wypadek, że zbierano na dom Boży, (po mazurach zbiera się zawsze „na kościoły"), a potem za te pieniądze wyreperowano porządnie plebanię, a to dla tego, że gdyby szło drogą konkurencyi, duszyczki by mogły przejść na łacińskie. A ileż to razy za pieniądze składkowe powystawiano różne zbytkowne, a nawet paradne dodatki w świątyniach (np. 3 kopuły). Również trzeba wspomódz ludową lub restauracyę takich kościołów, które nie mają parafii, np. w Czerniowcach (Jezuici). Następnie idą misye. Cały świat katolicki prześciga się w ofiarach na cele misyjne, my zaś zajmujemy w tej nowego gatunku krucyacie ostatnie miejsce. Nawet naszą własną, a jedyną misyę w Bułgaryi słabo popieramy. I nie dziwota, bo wszystko zabiorą kolektanci. Wreszcie mamy różne cele narodowe do poparcia. To dom narodowy i gimnazyum polskie w Cieszynie, to weterani z roku 1831, to różne składki ku uczczeniu naszych bohaterów, to znów Towarzystwo oświaty ludowej, Kółka rolnicze i zresztą ktoby to wyliczył. Ale to wszystko schodzi na ostatni plan, bo pierwsi są kolektanci. Jak przed paru laty fantowe loterye, tak teraz manią się stało wysyłać za składkami. Powiadają zwykle: parafia uboga, nie może domu Bożego postawić. A od czegoż konkurencya na 10, lub 20 lat założona! A jeśli i tego nie potrafi, to taka parafia nie ma racyi bytu. I tu koniecznie ciśnie się pod pióro pytanie: Czy wszystkie domy Boże stawiano dla duchownej i tylko duchownej potrzeby? Czy wszystkie parafie powstały dla tej tylko przyczyny? Warto się nad tem zastanowić.

Z Kulikowa nam piszą: Brak nadzoru policyjnego przechodzi u nas wszelkie granice. Bandy włóczęgów nocnych, składające się przeważnie z czeladników szewskich, kuśnierskich, rzeźnickich i t. p. przeciągają przez place i ulice, po całych nocach aż do białego dnia, wyją i śpiewają wśród nieopisanego wrzasku, budząc ze snu spokojnych mieszkańców. Wyprawianie tych nocnych harców trwa już oddawna, a obecnie wzmogły się one do rozmiarów niesłychanych. Naczelnik gminy interpelowany o to, aby raz położył tamę tym wybrykom, odparł, że nie posiada odpowiednich stróżów bezpieczeństwa, gdyż stróże ci rekrutują się przeważnie z tejże chałastry, a zamykanie na klucz takich indywiduów mogłoby go narazić na zemstę przez podpalenie, które tutaj rok rocznie w porze jesiennej jest na porządku dziennym. Upraszamy więc władze powołane do czuwania nad spokojem mieszkańców o zaradzenie złemu.

Ks. Józef Chrzanowski, kapłan dyecezyi rzymskiej i licencyat św. teologii, podejmuje się za skromnem honoraryum pośredniczyć w załatwianiu wszelkich interesów w zakresie kościelnym we wszystkich kongregacyach rzymskich i przyjść w pomoc rodakom przybywającym do Rzymu. Możemy zapewnić, że jest to pobożny i uczciwy kapłan, któremu zaufać można. Adres jego: *Monsieur l' Abbé Chrzanowski à Rome via della Consolatione nr. 111.*

Z klubu ruskiego. Pod przewodnictwem ks. Mandyczewskiego odbyli wczoraj posłowie ruscy w parlamencie wiedeńskim naradę nad żądaniami Rusinów w sprawie szkolnej. Po długiej dyskusyi uchwalono domagać się od rządu: otwarcia ruskich paralelek w utworzyć się mającem w r. 1895 gimnazyum w Czerniowcach; utworzenia utrakwistycznego seminaryum nauczycielskiego w Sokalu, połącznego z dwuklasową szkołą ćwiczeń w języku ruskim; utworzenia takiego seminaryum nauczycielskiego w Samborze, zaprowadzenia utrakwizmu we wszystkich seminaryach nauczycielskich we wschodniej Galicyi; udzielania stypendyów ruskim kandydatom na posady nauczycieli szkół średnich; oddzielenia ruskich paralelek w gimnazyum przemyskiem; nominacyi inspektorów szkół ludowych w Galicyi, którzyby władali językiem ruskim i nominacyi ruskiego inspektora szkół ludowych na Bukowinie.

Walter Scott idyotą. Obecna mania w nauce, wyszukiwania wszędzie i zawsze obłędu i zboczenia, sama zaczyna trącić już obłędem. Ubiegłego roku Make Nordau ochrzcił cały zastęp nowoczesnych artystów i pisarzy mianem waryatów i neuropatów, przydatnych do kuracyi zimną wodą, a teraz pozazdrościł mu laurów jakiś lekarz angielski p. Creighton, który nie zadowolnił się teraźniejszością, ale sięgnął w przeszłość i obejrzawszy czaszkę Walter Scotta napisał rozprawę, że słynny powieściopisarz i poeta Walter Scot był mikrocefalem (małogłowym) i zupełnym idyotą. Pan Creigthon nagromadził zdaniem swojem całą masę „naukowych" dowodów, a jednym z najważniejszych ma być ten, w którym p. Creigthon powiada, że jeśli Walter Scott w swoich powieściach jest czasem rozwlekły, pochodzi ztąd, „że szwy kostne na czaszce za wcześnie mu się zrosły". Pisma angielskie całkiem słusznie oburzają się na tę gadaninę, a *Pall Mall Gazette* radzi wydawcom, aby corychlej, idąc za wskazówkami doktora Creightona, powyszukiwali „idyotów" w rodzaju Walter Scotta, wykupili prawo wydawnictwa ich dzieł, a pyszny zrobią interes.

Podróż balonem z Europy do Ameryki. Dziennik „Aeronautic" donosi, iż aeronauta Hasen poruszył podnoszony już dawniej projekt podróży balonem przez ocean Atlantycki. Hasen przypuszcza, że wskutek ulepszeń zaprowadzonych w ostatnich czasach w urządzeniu balonów, podróży przez ocean można śmiało dokonać z pomocą balonu objętości 3.000 metrów, Hasen zbiera obecnie pieniądze, potrzebne na doprowadzenie do skutku swego zamiaru i oświadczył, iż w ostateczności gotów wzlecieć nawet balonem o połowę mniejszej objętości, t. j. mającym 1 500 metrów sześciennych. Hasen zamierza wypełnić balon wodorodem, gdyż przy objętości 3.000 metrów, ten statek powietrzny będzie posiadał siłę podnoszenia 3 200 kilogramów. Waga kosza i sznurów, według obliczeń Hasena, wyniesie 900 kilogramów. Balon uniesie 3 ludzi i zapasy żywności 250 funtów. Jeżeli w ciągu wzlotu balon tracić będzie dziennie około 2 procent zawierającego się w nim gazu, to w dni szesnaście utraci zaledwie trzecią część całkowitej ilości, podczas gdy podróż przez ocean można dokonać w 50 godzin. Zdaniem Hasena, należy wznieść się do wysokości 2 000 metrów i chcąc uniknąć na tak znacznej wysokości utraty gazu, należy mieć balon zapasowy, z którego gaz za pomocą rezerwoaru może być bezpośrednio wpuszczany do pierwszego balonu.

Psie kotlety. Małżonkowie Rassen z Roubaix, właściciele jatki rzeźniczej, zostali skazani na półroczne więzienie za sprzedawanie kotletów z psiego mięsa, które konsumenci nabywali, jako wołowe. Przy badaniu sądowem owej przemyślnej pary, okazało się, że p. Rassen, chcąc obsłużyć swą liczną klientelę, zabijał po 15 psów tygodniowo!

Zmarli. Marya z Żuławskich Russocka, właścicielka dóbr, umarła w Krakowie w 62 r. życia.

Stan powietrza. Termometr wskazywał w południe + 15° R. Bar. 765. Pogoda.

Mania statystyczna.

Nauczyciel. Mayer! A gdzie twój zeszyt z wypracowaniem domowem?

Mayer (szukając): Zapomniałem, proszę pana profesora.

Nauczyciel (z powagą): Tak? A to ładnie! Pomyśl tylko, chłopcze, coby to było, gdyby każdy z was zeszytu zapomniał!... Dziennie uczyniłoby to siedemdziesiąt, miesięcznie 2100, rocznie 25.200!.. I ja to wszystko musiałbym przez jedną noc przejrzeć!

Literatura i Sztuka.

„Świat" z 15 kwietnia zajmuje się jeszcze potrosze obchodem kościuszkowskim a przedewszystkiem wystawą. Z ilustracyjnego działu, który jest w tym zeszycie bogatszy, niż zwykle, wymieniamy ładny obrazek „Uśpiona", kilka scen z „Prodanej newesty", szkice z wystawy i kopię obrazu zmarłego malarza Łuskiny: „Savonarola". Winieta przedstawia Kościuszkę.

* **Wydawnictwa** p. t. „Oesterr. Monarchie in Wort und Bild" wyszedł 5-ty zeszyt. Zajmuje się on pomnikami architektury w Zalitawii. Zajmujące są liczne ilustracye zamków i kościołów węgierskich.

* **Nowa Biblioteka uniwersalna** z 15 kwietnia zawiera: Kalinka „Sejm czteroletni", Piotrowski Jan „Dziennik wyprawy Stefana Batorego pod Psków w roku 1581", Burckhardt „Kultura odrodzenia we Włoszech."

* **Dr. Alfred Bieńczewski.** „Krótki pogląd na pontyfikat Papieża Leona XIII ku uczczeniu 50letniego jubileuszu biskupiego Jego Świętobliwości." Broszurka, pod tym tytułem wydana w Przemyślu, jest uzupełnionym odczytem, wygłoszonym w tamtejszej sali ratuszowej 19 lutego 1893 przez p. Bieńczewskiego, ck. nadprokuratora państwa.

Sport.

Wyścigi konne w Pradze. Dzień czwarty 8go kwietnia. Ze siedmiu biegów w tym dniu odbytych, najznaczniejszemi były „Nagroda rządowa" 4000 zł. zwycięzcy, 500 złr. drugiemu, 200 złr. trzeciemu koniowi, dla koni trzyletnich; meta 1600 metrów. Z zapisanych koni ośm, biegało pięć. Hr. Z. Kinsky'ego klacz gn. „Jutka" po Arcadian od Ila 1 P. W. Schindlera kl kasz. „Schneewittchen" 2.

„Wiosenny bieg myśliwski", 2000 zwycięzcy, 400 złr. drugiemu koniowi; meta 4000 metrów. Z 13 koni zapisanych, biegały 4. Hr. A. Schoenborna og. gn. 4 l. „Erfolg" po Bakonyc II od Y. Endsgleigh 1, p. A. Egyedi'ego og kaszt. 4 l. „Követ" 2.

W tymże dniu jeden z pomniejszych biegów, a mianowicie: „Handicap pożegnawczy", nagroda 800 złr. zwycięzcy, 300 złr. drugiemu, 200 złr. trzeciemu koniowi; meta 1600 metrów, wygrał p. W. Schindlera og. kaszt. 3 l. „Pirat" po Chislehurst od Menestho. Z 23 koni mianowanych, biegały 4.

* * *

W Alag dnia 7 i 8 kwietnia nie było ani jednego znaczniejszego biegu.

* * *

Porucznik Bela v. Lazar, znany jeździec na torach monarchii austro-węgierskiej, który w roku 1893 pomiędzy panami jeżdżącymi na wyścigach (Gentlemen-Riders) pierwsze zdobył miejsce, bo jeździł 82 razy, z tego 38 razy był pierwszym, 22 razy drugim, a 4 razy obiegł szranki, w Alag już po wielkim biegu myśliwskim, w którym jeździł na klaczy p. K. v. Geista „Visza", zapadł ciężko na chorobę umysłową i musiał być oddany do zakładu leczniczego.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 16 kwietnia.

(Z) Do południa, t. j. dopóki giełda nasza operowała na własną rękę, mieliśmy wcale pokaźną haussę. Największą była ona w Staatsbahnach i w akcyach fabryki broni. Pierwszy z tych walorów podniósł się przeszło o 5 zł., do czego w części przyczyniły się spekulacyjne z kupna na rachunek upadłej firmy bankowej Scheuer, Hirsch & Schloss w Manheimie. Jeden ze wspólników tej firmy, który właśnie najzawzięciej operował na zniżkę Staatsbahnów, zastrzelił się. W walorach bankowych panował także prąd zwyżkowy, jakkolwiek nie tak wydatny. W południe pod wpływem doniesień z Berlina osłabiła się tendencya. Targ berliński bowiem zaniepokojony jest jutrzejszem trzeciem czytaniem ustawy o podatku giełdowym tudzież tem, że za kilka dni odbędzie się subskrypcya na 160 milionów 3%wej renty niemieckiej (po kursie 87 60) a operacya ta wywołała pewien odpływ gotówki z targu. Mimo to zamknięto u nas papiery bankowe cokolwiek wyższemi kursami, a Staatsbahny utrzymały swą zwyżkę w całości. Renty spadły w kursie.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 356·—, węgierskie 422·75, Anglobanki 151·75, Uniony 260·50, Bankvereiny 126·50, Länderbanki 250·70, Ludwiki 216·25, Czerniowieckie 280.50, Elbethale 264·50, Renta papierowa 98·45, srebrna 98·30, austryacka złota 119·65, 4% austr. renta wal. kor. 97·80, węgierska złota 118·—, 4% węgierska renta wal. kor. 95·10, dukat 5·88—, 20-frankówka 9·92—, marki 12·20, ruble 1·34¼.

§ **Wiedeń** 16 kwietnia. Spirytus 16·70 do 16·80.

§ **Zasiewy w Austryi.** Sprawozdanie Ministerstwa rolnictwa o stanie zasiewów opiewa: Oziminy przechowały się w ogóle w dobrym stanie, tylko żyto ucierpiało wiele w skutek posuchy. Robotom około jarzyn sprzyja piękna pogoda. Kiełkowanie i dalszy wzrost jarzyn utrudniony w skutek trwałej posuchy. Deszcz byłby bardzo pożądany i korzystny.

§ **Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.**

Kraków 17 kwietnia.

Notowania terminowe na giełdach zbożowych zależne są obecnie głównie od zmian powietrza i dlatego ciągłym ulegają fluktuacyom, podczas gdy w handlu zbożem gotowem usposobienie nieznacznie wprawdzie, lecz stale się wzmacnia. Przyczyną tego są z jednej strony skargi na posuchę, z drugiej zmniejszenie się dowozów. W tych warunkach, jakkolwiek odbyt ze względu na dawne znaczne zapasy mąki nie zwiększył się tak dalece, to jednak zmniejszyła się podaż, a przez to kupujący nie są już do tego stopnia panami sytuacyi jak przedtem. Ponieważ w Węgrzech ceny się podniosły, zatem kupujący poszukują obecnie celnych krajowych gatunków, które są rzadkie i dlatego zwyżka cen przedewszystkiem do nich się odnosi, podczas gdy gatunki poślednie tak samo prawie, jak przedtem, są zaniedbane, i tylko po cenach niskich odbyt znajdują. Jęczmienia w dobrych gatunkach brak, a gorsze nie mają odbytu. Owies dobrze się w cenie trzyma.

Płacono pszenicę białą 7·50 do 8·25, czerwoną 7·70 do 8·25, żółtą 7·40 do 8·20, żyto 6·30 do 6·65, jęczmień browarny 6·25 do 6·75, na kaszę 5·25 do 5·50; owies 6·30 do 7·25, rzepak —·— do —·—; wyka 0·00 - 00; koniczyna czerwona 60—80; biała 65—95. Wszystko za 100 kilogramów.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

§ **Z wiedeńskiego targu bydła.** Na poniedziałkowy targ przypędzono 4640 sztuk bydła, a w tej liczbie z Galicyi 411 sztuk opasowych i 104 chudych. Nie sprzedano 52 sztuk.

Płacono: galicyjskie 52 do 62·00 zł., węgierskie 52—63·50 zł., z innych krajów koronnych 53 do 67·00 zł., krowy 22—32·00 zł., za 100 kilo żywej wagi.

Bydło chude od 16 do 85 — zł. za sztukę.

§ **Przegląd targu zbożowego.** (Sprawozdanie banku rolniczego). Lwów 18 kwietnia.

Usposobienie niezmienne, ceny więcej stałe.

Dziś notujemy za 100 kilogramów loco Lwów: Pszenica gotowa 6·50 do 7·50, Żyto gotowe 5·25 do 5·80, Owies obroczny 6·— do 6·40, Jęczmień 5.25 do 6·—, Rzepak —·— do —·—, Groch 6 — 10·—, Wyka 7.— do 8·50, Bobik 5·50 do 5·80, Hreczka 6 75 do 7·25, Kukurudza (stara) 5·10 do 6 —, Kukurudza (nowa) 0·00 do 0.00, Chmiel za 56 kilo 75. — do 80·—, Koniczyna czerwona 60·— do 80·—, Koniczyna biała 75 — do 90·—, Koniczyna szwedzka 65·— do 90·—, Spirytus 10.000 litr. proc. loco stacye kolei 14·75 do 15·00, Lnianka 0 00 do 0·00, Anyż —·— do —·—, Siemię konopne 0 00 do 0·00, Tymotka —·— do —·—.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 18 kwietnia. Komisya dla reformy wyborczej odbyła wczoraj posiedzenie, na którem byli ministrowie Bacquehem i Jaworski. Przewodniczący komisyi br. Widmann skonstatował, że w sprawie reformy wyborczej zalega 26 rozmaitych wniosków. Mgr. Bacquehem zabrał głos i powołując się na oświadczenia, złożone już w tej sprawie przez ministra finansów i przez prezesa gabinetu ks. Windischgraetza zapewniał, że rząd ma szczery zamiar przeprowadzić tę reformę w porozumieniu ze stronnictwami wchodzącemi w skład koalicyi. Sprawa ta znajduje się obecnie w stadyum przygotowawczem. Rząd pragnie zebrać potrzebny materyał statystyczny, a porozumiawszy się ze stronnictwami wniesie jak najrychlej w Izbie stósowne przedłożenie.

P. Jędrzejowicz postawił wniosek o odroczenie obrad nad tą sprawą aż do czasu, gdy rząd zbierze potrzebny materyał statystyczny i wystąpi z konkretnymi wnioskami. Mówca zastrzegł się jak najwyraźniej przeciw temu, jakoby wniosek jego zmierzał do przewleczenia reformy. Polacy szczerze pragną przyprowadzić tę reformę do skutku i są za rozszerzeniem prawa wyborczego, należy jednak poprzednio znać materyał statystyczny, a okoliczność, że rząd ma zamiar wnieść w tej sprawie przedłożenie, wystarcza do odroczenia obrad. Gdyby bowiem nawet całemi tygodniami dyskutowano nad rozmaitymi wnioskami w tej sprawie, to ostatecznie każdy musi przyjść do przekonania, że zapowiedziany projekt rządowy stanowić będzie podstawę obrad.

Młodoczesi Slawik i Brzorad sprzeciwili się wnioskowi p. Jędrzejowicza, popierali go zaś pp. Hohenwart, Hallwich, Kraus, Kaenburg, Lupul i Rutowski, który wykazywał, że wobec zapowiedzianego przez rząd projektu obradowanie nad 26 wnioskami byłoby tylko marnowaniem czasu.

Komisya przyjęła wniosek p. Jędrzejowicza wszystkimi głosami przeciw głosom pp. Brzorada, Slawika, Fandarlika i Pattaia.

W komisyi legitymacyjnej postawił referent p. Helcelet wniosek o unieważnienie wyboru rabina Blocha. Komisya jednak wbrew temu wnioskowi uchwaliła zarządzić jeszcze raz dochodzenia i wezwać rząd, aby rezultat tych dochodzeń jak najrychlej przedłożył.

W komisyi przemysłowej zapowiedział minister hr. Wurmbrand, że po ukończeniu bieżącej sesyi parlamentarnej zwoła tę komisyę na sesyę nieustającą. Komisya uchwaliła nasamprzód wziąć pod obrady ustawę o wyprzedażach, następnie o statystycznym biurze pracy i o uregulowaniu odpoczynku niedzielnego. Ustawa o domokrąstwie przyjdzie pod obrady Izby prawdopodobnie dopiero w niedzielę.

Rzym 18 kwietnia. Na wczorajszem posiedzeniu parlamentu przy odczytywaniu protokołu poprzedniego posiedzenia, zaprotestował Imbriani przeciw niektórym wyrażeniom Crispiego, które zdaniem mówcy zawierały w sobie groźbę. Mianowicie nie podoba się mówcy, że Crispi powiedział, iżj jeśli Izba nie zastosuje się do życzeń rządu, wówczas on będzie wiedział czego się trzymać. Oznacza to, że Crispi ma dekret rozwiązujący izbę w kieszeni.

Crispi zawołał: „Jeszcze go nie mam". Słowa te wywołały wielką wesołość. Następnie zabrał Crispi głos i przyznał, że w toku przedwczorajszej debaty, której cały ton był namiętny, był może nieco za gwałtownym. Należy mu to jednak wybaczyć. Crispi zapewnia, że zawsze miał jak największe uszanowanie dla reprezentacyi narodu. Jest on starym parlamentarzystą i szanuje instytucye, bez których Włochy żyć nie mogą. Nigdy z ław ministeryalnych nie może wyjść akt, skierowany przeciw prerogatywom parlamentu i Crispi ma nadzieję, że nawet sam Imbriani przyzna, iż oświadczenia jego nigdy nie przekraczały granic konstytucyjnych zwyczajów.

Na tem zakończyło się całe zajście.

Wiedeń 18 kwietnia. Gromady bastujących czeladników stolarskich przeciągały wczoraj ulicami po wszystkich przedmieściach, kontrolując, czy w niektórych warsztatach nie pracuje czeladź. Za odgrażanie się majstrowi aresztowano dwóch czeladników, a pięciu za obrazę straży.

Barcelona 18 kwietnia. W porcie tutejszym wsiadło na okręty znów 6000 pielgrzymów hiszpańskich i popłynęło do Włoch.

Badajoz 18 kwietnia. Cholera, która przed kilku miesiącami już się tu pojawiła, wzmaga się.

Londyn 18 kwietnia. Do *Times'a* donoszą z Montevideo, że brazylijski admirał Mello z resztą załogi swej eskadry, składającą się z 1200 ludzi, poddał się władzom argentyńskim.

Wiedeń 18 kwietnia. Do dzienników tutejszych donoszą, że miasto Węgierski Hradec (na Morawie) stoi w płomieniach. Pożar zniszczył bardzo wiele domów, żeńską szkołę wydziałową, hotel, klasztor Franciszkanów. Wieża kościoła zawaliła się. W mieście panuje wielka panika, gdyż właśnie odbywa się tam jarmark.

Reichenau (w Czechach) 18 kwietnia. W miejscowości Adlerkostelatz spaliło się ubiegłej nocy 33 domów. Dwoje ludzi zginęło w płomieniach, a 300 jest bez dachu.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 18 kwietnia. (Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 215·— do 218·—. Kolej Lwow.-Czern. Jasska po 200 zł. w. 279.50 do 282·—. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a. 395·— do 405·—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. gal. 5% losow. w 40 lat. 101·— do 101 70, 5% z 10% prem. 109·80 do 110·50, 4½% los. w 50 lat. 100 — do 100·70. Banku krajowego 4½% los. w 51 lat. 100·50 do 101.30, Banku krajowego 4% los. w 57 lat. 97·30 do 98.—. Tow. kredyt. gal. ziemsk. 4% (I. emisya) 98·20 do 98·90. 4% los. w 41½ lat. 98.10 do 98·80, 4% los. w 56 latach 98 — do 98·70. 4½% los. w 52 lat. —·— do —·—.

Obligi za 100 zł.: Galic. funduszu propinacyjnego 4% 97·— do 97.70. Bukow. funduszu propinacyjnego 5% 102·50 do 103·— Kom. banku krajowego 5% w. a. II. em. 102·30 do 103·—, Pożyczki krajowej 6% 105·— do —·—, 4½% 100·— do 100 70 4% z roku 1891 96 80 do 97·50 4% z roku 1893 96·80 do 97·50.

Monety. Dukat cesarski 5·86 do 5·96 Napoleondor 9·87 do 9·97 Półimperyał 10·10 do —.—. Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.33 50 do 1.36·— 100 marek niemieckich 60·85 do 61 35.

Wiedeń dnia 18 kwietnia. (godz. 11 w południe. Kredyty 355.50, kred. węgierskie 421.50, Anglob. 151.50, Uniony 259.50, Bankvereiny —.—, Länderbanki 251.50, Akcye tytoniowe 219·50, Staatsbahny 345.62, Lombardy 108.62, Elbethale 264.50 Renta papierowa 98.50, Renta węg. 4% kor. 95·15 Renta węg. złota 4% 118.10, Alpiny 72.60, Mark. 61·11, Losy tur. 61.90.

37)

KRÓLOWA ZŁOTA.

POWIEŚĆ

PAWŁA d'AIGREMONT.

(Ciąg dalszy).

— Proszę pani — odrzekła Teresa — niech pani pozostawi mnie — może kiedyś, później podziękuję jej, ale w tej chwili widzę i pojmuję jedną tylko rzecz: rozdzielasz mnie pani z Andrzejem i widok pani sprawia mi ból.

— Tereso! — zawołała Helena — jesteś niesprawiedliwą i okrutną!

Następnie rzuciła się na szyję pani Jacobsen.

— Matko moja ukochana — rzekła tonem błagalnym — proszę cię, przebacz jej, ona tyle wycierpiała!... Ona zmieni swe uczucie. Ja błogosławię cię i wdzięczną jestem za wszystko, coś uczyniła, zwłaszcza za to, żeś przyszła tu dzisiaj.

Anielski uśmiech wykwitł na ustach baronowej.

— Słowa Teresy nie urażają mnie, moja droga Heleno... wiem ile cierpi i nie gniewam się na nią. Pocieszaj ją i kochaj; a gdy uspokoi się cokolwiek, powiedz jej, że nietylko przebaczam jej, lecz w każdej chwili gotowa jestem otworzyć jej moje serce jak niegdyś.

Paulina wypowiedziała te słowa z taką serdecznością, że zachwycony Robert chciał uklęknąć przed tą kobietą i ucałować brzeg jej sukni.

Baronowa, jak gdyby miała przeczucie wrażenia, jakie wywarła na nim, gdyż przed odejściem odwróciła się ku niemu i ogarnęła go wzrokiem tak serdecznym, iż rzeźbiarzowi zdawało się, że nikt na świecie jeszcze na niego tak nie spojrzał.

XV.

Miłość anioła.

Upłynęło półtora roku.

Teresa, zawsze wytrwała w swych przekonaniach, pracowała dalej w drukarni.

— Naprzód — mówiła do odwiedzających ją często Heleny i Sybili — Andrzej zarabia na życie, więc i ja powinnam pracować. Następnie praca jest dla mnie rozrywką; pędząc życie bezczynnie byłabym jeszcze nieszczęśliwszą.

Jedna tylko rzecz zakłóciła niekiedy zgodę sióstr i dawała powód do sporów. Teresa śmiertelnie nienawidziła panią Jacobsen, nie chciała jej widzieć i nie przebaczyła rozdzielenia z mężem.

Andrzej pisywał często, był zdrowym, odważnie znosił rozłączenie i powodziło mu się nadspodziewanie. Nie mógł jej jeszcze nadesłać pieniędzy, gdyż nie miał w otoczeniu swem człowieka, któremu mógł by zaufać. Zresztą i sam nie mógł się wydalić z kopalni. Sprowadzić jej do siebie także nie mógł. Co by się z nią stało, gdyby ją pozostawił na łasce robotników, złożonych po większej części z bandytów i wszelkiego rodzaju włóczęgów?

Tymczasem pod jego okiem wszystko było bezpieczne i w porządku. Wiedzieli oni, że mają nad sobą pana, energicznego i zdolnego za wszelkie nadużycia strzelić w łeb każdemu jak psu. Po dwóch takich wypadkach nabrali dla niego uszanowania, posuniętego do fanatyzmu.

Oczekując na sposobność wysyłki złota do Kajenny, Andrzej złożył je w odkrytej przez siebie naturalnej jaskini w skale, którą następnie zamurował, przed nią zaś zbudował dla siebie dom, nad którym znów nadzór powierzył molosom, przywiązanym do niego, ale strasznym dla każdego zbliżającego się do domu.

Pewna obłąkana, a w każdym razie niemowa, którą spotkał po swem przybyciu do kopalni, o białych włosach i czarnych jak węgle oczach, o twarzy stosunkowo młodej i wyrażającej niezmierny smutek i łagodność, była jedyną osobą, mogącą, oprócz strasznych psów, zbliżać się do jaskini, dzięki zabobonnemu przestrachowi, jakiem przejmowała wszystkich jako waryatka.

Przywiązaną była do Andrzeja niezmiernie, przynajmniej tak mu się zdawało, nieszczęśliwa ta bowiem nie wypowiadała ani słowa i nie zdradzała żadnego wrażenia.

Wszystkie te szczegóły zajmowały niezmiernie Helenę, Roberta i Sybilę, ten cały światek, otaczający i kochający Teresę.

Panujące między nimi zupełne szczęście, zakłócone zostało wypadkiem smutnym — choć zwykłym — śmiercią poczciwej odźwiernej, pani Samuel.

Robert i Teresa, których była ona wierną przyjaciółką, szczerze jej żałowali i za wspólną zgodą postanowili obchodzić się odtąd bez stróżącej, nie chcąc wprowadzać do domu odźwiernej nowej, osoby gadatliwej i plotkarki. Ta zaś rozgniewana o to, poprzysięgła im zemstę.

Nadszedł czas wyjazdu rodziny Rochebelle do Normandyi. Helena ośmielała wzrastającą miłość Roberta i chociaż żadne z nich nie zdradzało się z jakiemkolwiek zwierzeniem lub słowem, wiedzieli przecież dobrze o swych uczuciach wzajemnych. Teresa również wiedziała o nich i nie przeszkadzała, była bowiem przekonaną, że Robert godzien jest Heleny i uczyni ją szczęśliwą. Jedyna tylko miss Andrew w swej niezrównanej naiwności nie domyślała się niczego.

Tymczasem Robert wystawił w Salonie biust Teresy i zyskał pochwały ogólne. Następnie wykonał kilka posągów, między któremi naturalnej wielkości „Mignon, opłakującą swój kraj" i „Paryżankę", do których za model służyła mu Helena. Oba te dzieła wywołały zachwyt powszechny. Znajomi jego przepowiadali mu najwyższą nagrodę, a w następstwie jej sławę, zamówienia i majątek.

— Niech pan ją otrzyma — oświadczyła mu Helena — a umyślnie przyjadę z Normandyi, by powiedzieć mu pewien sekret i nagrodzić od siebie.

W wigilię dnia wyjazdu panien Rochebelle do Normandyi, Helena weszła do pokoju miss Andrew i rzekła:

— Moja droga Sybilo, weź kapelusz, płaszczyk i jedź ze mną.

— Dokąd?

— Na Montmartre. Wyjeżdżamy jutro, prosiłam więc Teresę, by nie szła dzisiaj do swej drukarni, gdyż pragnę dzień ten przepędzić z nią razem. Robert będzie także w domu, gdyż muszę ci oświadczyć, że będzie to świadanie zaręczynowe.

Spadający nagle piorun nie wywarłby na Sybili tak wielkiego jak te słowa wrażenia.

— Świadanie zaręczynowe? — powtórzyła miss Andrew. — Czyś ty rozum straciła? Co to znaczy?

Panna Rochebelle spodziewała się takiej odpowiedzi.

— Co to znaczy? To, że kocham Roberta i on mnie kocha i że od chwili, w której poznaliśmy się, oddaliśmy sobie serca nasze na zawsze.

— I on powiedział ci, że cię kocha?

— Bądź spokojną. Nigdy nie ośmielił się dać mi nawet do zrozumienia.

— W takim razie — z niezrównaną naiwnością zapytała Sybila — skądże możesz wiedzieć o jego uczuciach?

Helena rzuciła się jej na szyję.

— Czyż to potrzeba słów, by domyśleć się czegoś podobnego? — zapytała.

Miss Andrew lekko usunęła swą ukochaną wychowankę i rzekła naiwnie:

— Przedewszystkiem zachowaj spokój i nie usiłuj wzruszyć mnie, gdyż przeczuwam, że chcesz żądać odemnie czegoś ważnego.

— To dziwne, jaka ty jesteś domyślna, moja droga Sybilo! — zauważyła Helena ze złośliwym uśmiechem.

Lecz nagle spoważniała i dodała głęboko wzruszona:

— Słuchaj, Sybilo, uważałam cię zawsze za matkę moją, boś mi zastąpiła tamtą, nieobecną... Kochałaś mnie tak, jak ona by mnie kochała, ciebie więc proszę dziś o pozwolenie i błogosławieństwo i nie powinnaś mi go odmówić.

Sybila, zmięszana jej słowami, usiłowała jednak opierać się.

— Heleno! zastanów się nad tem, coś powiedziała! Ty!... Ty!... chcesz wyjść za mąż za człowieka, nie mającego nawet nazwiska!... ty, dla której książę udzielny za mało!...

— Moja droga Sybilo — przerwała jej Helena — twoje przywiązanie do mnie zaślepia cię. Nie jestem lepszą ani gorszą od innych dziewcząt w mym wieku. Mam kilka przymiotów, które zawdzięczam tobie, a mianowicie, że wiem dobrze, czego pragnę i że wytrwale umiem iść do celu. Powiedziałam ci już, że kocham Roberta od chwili poznania go. Naprzód swem poświęceniem dla Teresy zdobył moje serce, a następnie zobaczyłam go. Jego wielkie oczy uczciwe wywarły na mnie wpływ niezmierny. Czułam się zmięszaną, pociągniętą, nie mogłam otrząsnąć się z wrażenia. Zdawało mi się, że znałam go oddawna i oddawna kochałam. Później Andrzej opowiedział mi jego życie, życie dziecka opuszczonego, które samo, bez rady i podpory wyrobiło się na człowieka tak szlachetnego. I gdy dla innej kobiety urodzenie jego byłoby nigdy niezmytą plamą, przeciwnie, dla mnie stało się źródłem jeszcze większej miłości.

Sybila znała Helenę dobrze. Opierać się, gdy mówiła w ten sposób, było niepodobieństwem.

— Boże mój drogi! — szepnęła — co ludzie powiedzą?

(C. d. n.)

Odpowiedzialny redaktor: *Ludwik Masłowski.* Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządca W. Hodak.